

**JERZY PIOTR KRAKOWSKI** (0/Mielec)

## 65 Rajd Przyjaźni Bieszczadzkich

W dniach 4-12 sierpnia 2018 roku odbył się 65 Rajd Przyjaźni Bieszczadzskich, którego organizatorem był Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „MKG Carpatia” w Mielcu. Impreza ta jest najstarszą turystyczną akcją w Województwie Podkarpackim i jedną z najstarszych w Polsce.

Rajd po raz pierwszy zorganizowano w roku 1954, w czasach panoszącego się w Polsce systemu komunistycznego, a jego ideą było zacieśnianie przyjaźni z turystami z „bratnich narodów socjalistycznych”. W rajdach faktycznie brali wówczas udział turyści z ZSRR, CSRS, NRD, Bułgarii, Węgier.

Pierwszymi organizatorami były takie organizacje jak WRZZ, TPPR i PTTK.

Od najstarszej edycji rajdu brali w nim udział turyści z Mielca, którzy jeździli w Bieszczady raczej nie z pobudek ideologicznych, ale by poznać ten trudno dostępny w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku teren.

Na szczęście z biegiem lat polityka i ideologia zostały oddzielone od turystyki i Rajd Przyjaźni stał się jedną z ważniejszych akcji turystycznych w polskich górach.

Zmieniali się organizatorzy, którymi były głównie oddziały PTTK z Leska, Rzeszowa i Mielca (Oddział Zakładowy przy WSK). W latach siedemdziesiątych OZ PTTK przy WSK Mielec stał się samodzielnym organizatorem imprezy.

Po zmianach ustrojowych następuje znaczne zmniejszenie liczby uczestników, a w latach 1994-1996 w rajdach bierze udział tak niewielka liczba osób, że rozważane było zakończenie organizowania tej akcji. Jednak wówczas pomocną dłoń okazali ludzie z MKG „Carpatia” Mielec, którzy podjęli się najpierw współorganizacji, a po rozwiązaniu OZ PTTK przy WSK Mielec w 1997 roku, samodzielnej organizacji Rajdu Przyjaźni.

Impreza odżyła. Pojawiać zaczęli się nowi, młodzi

uczestnicy, ale i weterani rajdowi z chęcią zaczęli ponownie przyjeżdżać w Bieszczady.

Od kilkunastu lat rajdowicze wędrują już nie tylko po polskich bieszczadzskich szlakach. Najpierw dokonywano przejść na Słowację, a od roku 2010 także w Bieszczady na Ukrainie.

W roku bieżącym impreza miała dwie bazy. Najpierw było to Schronisko Młodzieżowe w Górzance, a kolejną bazą było Schronisko Młodzieżowe w Kalnicy. Uczestnicy zakwaterowani byli w schronisku, na kwaterach prywatnych, ale największa część, zgodnie z tradycją spała w namiotach.

W imprezie wzięło udział ponad sto osób, a większość z nich „zaliczyła” udział w całym rajdzie. PTT reprezentowali członkowie oddziałów z Mielca, Ostrowca Świętokrzyskiego, Jaworzna i Tarnobrzega oraz kół z Murowanej Gośliny, Gdańska i Wrocławia. Razem z naszymi turystami wędrowała też dziewiętnastoosobowa ekipa turystów z Klubu Slovenských Turistov ze Starej Lubovny ze Słowacji.

W niedzielę na rozpoczęcie rajdu w intencji obecnych uczestników oraz tych, którzy odeszli na niebiańską wędrowkę odprawiona była msza św., po której ksiądz Piotr Bartnik (przewodnik beskidzki) zapoznał

wszystkich chętnych z historią cerkiewki w Górzance.

Tegoroczne trasy prowadziły po bardzo znanych bieszczadzskich miejscach jak Połonina Wetlińska, Jasło, Fereczata, Kremnary, Wielka Rawka, jak również po miejscach bardzo rzadko odwiedzanych przez turystów takich jak Korbania, Wierchy, Wysoki Horb, Werlas, Horodek czy Zatoka Martwego Drzewa, gdzie doszło do spotkania z Juliuszem I – pustelnikiem (od 28 lat) i samozwańczym Królem Wędrowców.

Z okazji jubileuszu imprezy, zostały wykonane specjalne pamiątkowe, imienne medale, którymi uhonorowani zostali za służeni i najwytrwalsi uczestnicy. Byli to: Wojciech Kotkowski (PTT Wrocław), Marian „Rupiec” Gołąb (Katowice), Manfred Święty (Gliwice), Waldemar Skrok (PTT Ostrowiec Św.), Leszek Karkut (PTT Mielec), Krzysztof Bartnik (PTT Gdańsk), Jerzy Krakowski (PTT Mielec) i Zdzisław Jankowski (Pabianice).

Wszyscy uczestnicy otrzymali pamiątkowe odznaki, magnesy i kartki pocztowe. Ostatniego dnia imprezy przed wyjazdem wszyscy życzyli organizatorowi kolejnych udanych rajdów i spotkania za rok, najlepiej w ukraińskich Bieszczadach. ■



Przy „Chatce Puchatka” na Połoninie Wetlińskiej

Fot. Waldemar Skrok - PTT Ostrowiec Św.

## Czarnohora i Świdowiec – szlakiem huculskich połonin

W tegoroczny plan wakacyjnych wyjazdów z oddziałem bielskim Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na długi weekend sierpniowy zaplanowano kilkudniowy wypad w Karpaty Ukraińskie. To był już drugi w tym roku nasz wypad w góry na Ukrainie. Tym razem w planie było przejście szlakami Czarnohory i Świdowca. Niezła gratka dla górolazów chcących przemierzyć te części Karpat Wschodnich – Beskidy Wschodnie zwane Beskidami Połonińskimi.

Plan wyjazdu był bardzo atrakcyjny. Zdobyliśmy dwa dwutysięczniki Czarnohory: Howerlę (2061 m n.p.m.), która jest najwyższym szczytem Ukrainy oraz Petrosa (2020 m n.p.m.). Wyszliśmy na najwyższe wzniesienie Świdowca – Bliźnicę (1788 m n.p.m.). Mieliśmy okazję wędrować rozległymi połoninami i spacerować doliną Prutu oraz być na huculskim bazarze.

Działo się mnóstwo nowych i wspinających rzeczy: chodziliśmy po pięknych górach, mijaliśmy turystów w papuciach, był upał, deszcz, burze i grad, widzieliśmy dzikie obozowiska zbieraczy jagód, była sprzedawana kawusia i medale na szczycie, znaleźliśmy różowe japonki w borówkach, nieustannie towarzyszył nam dźwięk dzwonek przemieszczających się stad owiec, widzieliśmy po raz pierwszy krowy leśne, mieliśmy off-road gruzawikami, labirynt w kosodrzewinie i wiele, wiele innych niezwykłości. Codziennie wstawaliśmy pełni entuzjazmu i gotowi na kolejną wędrowkę po szlakach Czarnohory lub Świdowca, bez względu na zapowiadaną pogodę.

Wyjechaliśmy z Bielska już we wtorek 14 sierpnia popołudniu, żeby zaraz po ponad 16-godzinnej podróży, następnego dnia rano wyruszyć na najwyższy szczyt Ukrainy – Howerlę (2061 m n.p.m.).

Nasz vipowski autobus dowiózł nas szeroką, ale kamienistą drogą do Zaroślaka – miejsca, gdzie niegdyś stało polskie schronisko. Dzięki temu zaoszczędziliśmy sobie kilku kilometrów mozolnego marszu.

Szlak na Howerlę początkowo wiódł lasem, a potem łąkami już ostro pod górę. Turystów na szlaku było wielu, od kilkuletnich dzieci po wiekowe starowinki, od przygotowanych na wszystko wędrowców z wielkimi plecakami, przez turystów z Polski do spacerowiczów, którzy zdecydowali się na wspinaczkę w papuciach. Pogodę mieliśmy dynamiczną. Słońce często wyglądało zza chmur, ale co chwila to zakładaliśmy, to ściągaliśmy peleryny przeciw niewielkim opadom deszczu. Dopiero przy zejściu burze zaczęły nas srogo straszyć. Warunki pogodowe znacząco się pogorszyły. Burze i gęsta mgła utrudniały marsz w sporej grupie. Nasz Przewodnik Marek podjął decyzję o zejściu w dolinę jemu znaną ścieżką przez kosodrzewinę. Po drodze złapał nas deszcz i grad, kilka osób ujechało na błotnistej ścieżce, ale zesliśmy bezpiecznie, a przedzieranie się przez labirynt w kosówce dało nam sporo dziecięcej radości.

Zakwaterowani byliśmy w Lazeshchynie w niewielkim hotelu przy głównej drodze, gdzie mieliśmy zapewniony dach nad głową, śniadania codziennie o 8:00 i obiadowe kolacje po powrocie z górskich wojaży.

Drugi dzień na Ukrainie przywiłał nas paskudną pogodą. Nasza trasa przebiegała po połonin Apszyńca w Paśmie Świdowca malowała się szaro i mgliście. Jedynym kolorowym akcentem były nasze peleryny i namioty uziemionych zbieraczy borówek. Ciekawym urozmaicheniem dnia była przejażdżka gruzawikami – ciężarowymi samochodami przystosowanymi do prze-

wozu osób, które zamiast autobusu, służyły nam jako lokalny, terenowy transport. Dopiero w okolicach Drahobratu, gdy przyszło nam schodzić z połonin, chmury nieco odsłoniły przed nami głębokie doliny i najbliższe szczyty. Pomimo szaro-burej i deszczowej aury, krótkie chwile odsłoniętych widoków i off-roadowa przejażdżka zrekomensowały nam mozołą wędrowkę we mgle.

Rankiem trzeciego dnia, spoglądając w okna z przykrością stwierdziliśmy, że pogoda i tym razem nas nie będzie rozpieszczać. Spakowaliśmy do plecaków wysuszone po poprzednim dniu peleryny, a nawet i parasole. Tym razem lepiej już przygotowani na deszczową aurę podekscytowani znów zasiedliśmy do gruzawików. I tym razem nie zawiedliśmy się przejażdżką. Była jeszcze lepsza niż pierwsza.

Wyjeżdżając z lasu tymi niezwykłymi pojazdami mozolnie, zygzakiem, na dość dużej wysokości z wielkim zaskoczeniem przywitaliśmy błękitne niebo i palące słońce. I znów nie byliśmy za bardzo przygotowani na warunki pogodowe. O ile w plecaku gdzieś na dnie znalazły się krótkie spodniki, to krem z filtrem już niestety nie.

Skąpani promieniami słońca, podziwiając niezwykle widoki morza chmur w dolinach, napędzani witaminą D, dzielnie i bez marudzenia zdobyliśmy szczyt Petrosa (2020 m n.p.m.). Dalej już tylko 15 km zejścia połoninami i łąkami, przy nieustannym dźwięku przemieszczających się gdzieś w oddali stad owiec. Po zejściu do Jasinii, zimny, gazowany choć nieco rozleniwiający izotonik postawił nas na nogi po długiej wędrowce.

Na ostatni dzień górskich wojaży zaplanowano Bliźnicę (1883 m n.p.m.) – najwyższy szczyt pasma Świdowca. Choć nie jest to dwutysięcznik, wejście na tę wybitną i charakterystyczną szpicę było strome i dało na się we znaki. Wybraliśmy opcję wejścia szlakiem prowadzącym obok malowniczych jezior, gdzie zrobiliśmy sobie dłuższą przerwę na zdjęcia, a znaleźli się i tacy co skorzystali z orzeźwiającej kąpieli.

Pogoda ciągle utrzymywała się słoneczna. Ze szczytu i połonin rozciągały się przepiękne panoramy na szczyty, które zdobyliśmy i te jeszcze nam nieznane. Było to nasze ostatnie przejście górami Ukrainy na tym wyjeździe i każdy czerpał z niego długą przyjemność.

Nasza wyprawa po górach Ukrainy zakończyła się miłym pożegnaniem przy muzyce lokalnej, huculskiej kapeli. Tańczyliśmy i bawiliśmy się rewelacyjnie. Nawet kontuzje przestały być przeszkodą w udziale w zabawie.

Fot. Grażyna Żyrek - PTT Bielsko-Biała



Uczestnicy wyjazdu na Howerlę

## Korona Beskidów Ukraińskich zdobyta!

To był nasz trzeci wyjazd na Ukrainę, a drugi samodzielnie zorganizowany. Jego celem miało być zakończenie zdobywania Korony Beskidów Ukraińskich, do której brakowało nam już tylko trzech szczytów.

Tą samą, co w maju ośmioosobową ekipą członków Oddziału PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim wyruszyliśmy 10 sierpnia późnym wieczorem kursowym autobusem do Iwano-Frankowska (dawny Stanisławów), dokąd dotarliśmy ok. godziny 10 następnego dnia. Stąd zabrał nas nasz ukraiński kierowca Дмитро Ілюк do miejscowości Ілці, w której mieliśmy zamówione noclegi. W pobliżu była niewielka knajpka, więc poszliśmy coś przekąsić. Po długiej podróży należało się również zrelaksować, zwłaszcza, że następnego dnia czekała nas bardzo długa wędrówka.

Z ogromną radością poszliśmy więc do czana. Co to takiego, poznaliśmy już w trakcie majowego wyjazdu w Użoku. Otóż jest to ogromny żeliwny kocioł wypełniony bardzo gorącą wodą, na dnie którego leżą kamienie, a na wierzchu unoszą się świeże rośliny, których celem jest wzmocnić kąpiel. Od dołu pali się ogień, by woda nie straciła wysokiej temperatury. Woda jest tak gorąca, że początkowo można wytrzymać zaledwie kilka sekund. Po wyjściu z tego wrzątku należy natychmiast przejść do basenu z bardzo zimną wodą. I tak na zmianę. My skorzystaliśmy jeszcze z dodatkowej atrakcji, jaką była możliwość kąpieli w Czeremoszu. Zabawa trwała dwie godziny, a my mieliśmy przy tym naprawdę ogromną frajdę.

Następnego dnia kierowca zawiózł nas do miejscowości Szybene, skąd przez Połoninę Łukawica dotarliśmy do najwyższego szczytu w Połoninach Hryniawskich – Baby Ludowej (1590 m n.p.m.). Przez całą wędrówkę mieliśmy piękne widoki, nie tylko na Połoniny Hryniawskie, ale także na Czarnohorę, a zwłaszcza na Popa Ivana i jego okolice. Widoki wprost zachwycające przez cały dzień. Po zejściu do Szybenego byliśmy zmęczeni, zwłaszcza upałem, ale bardzo zadowoleni.

Kolejnego dnia miało być coś wyjątkowego – wejście na Popa Ivana (2022 m n.p.m.). Jest to trzeci co do wysokości szczyt w Karpatach Ukraińskich. W latach 1918-1939 teren ten znajdował się w granicach Polski. W połowie lat 30-tych powstała koncepcja budowy na szczycie obserwatorium astronomiczno-meteorologicznego, a ponieważ góra znajdowała się na granicy polsko-czechosłowackiej także strażnicy granicznej Korpusu Ochrony Pogranicza. Budynek oddano do użytku w lipcu 1938 r. – miał 5 kondygnacji i 43 pomieszczenia. Placówka ta była filią Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie wojny

zniszczony, pozostawał niezagospodarowany przez 65 lat. Dzięki współpracy władz Polski i Ukrainy podjęto prace mające przywrócić obiekt i nadać mu nowe funkcje. Planuje się, że będzie to nie tylko obserwatorium astronomiczne i meteorologiczne. Obiekt będzie także pracownią naukową dla badaczy, bazą praktyk naukowych dla studentów i schroniskiem wysokogórskim. Dodatkowo będzie tam również Polsko-Ukraińska Stacja Ratownictwa Górskiego.

W drodze na szczyt znów piękne widoki na Czarnohorę i Połoniny Hryniawskie. Na szczycie mieliśmy możliwość zaobserwować prace zmierzające do odbudowy obiektu, który zrobił na nas ogromne wrażenie. W drodze powrotnej mijaliśmy dawne słupki graniczne, które były widocznym znakiem dawnej Polski. Ze szczytu zeszliśmy przez Smotrycz do Dżembronii, gdzie cierpliwie czekał na nas Дмитро, który odwiózł nas na kwaterę.

Kolejny dzień był przeznaczony na odpoczynek od gór. Najpierw pojechaliśmy do Werchowyny (dawne Żabie) – stolicy Huculszczyzny i poszliśmy do Muzeum „Wyszywanka”. Tam powitała nas pani Galina – pisarka i znakomita gawędziarka, która w nieszablonowy i fantastyczny sposób przekazała nam mnóstwo informacji o Huculach i ich kulturze. Później zwiedziliśmy najstarszą na tamtym terenie drewnianą cerkiew sprzed 300 lat. Wieczorem zaś czekał na nas koncert zespołu huculskiego, którego członkiem jest również nasz kierowca Дмитро, znakomity skrzypek (wcześniej nauczyciel w szkole muzycznej). To był niezapomniany wieczór, który długo zostanie w naszej pamięci.

I wreszcie kolejny dzień – pożegnanie z Huculszczyzną – wyjazd do Dragobratu i wejście na Bliżnicę (1883 m n.p.m.) – najwyższy szczyt w Paśmie Świdowca.

Dragobrat to ośrodek narciarski, który jest jednym wielkim placem budowy i nic tam ciekawego, ale to właśnie stamtąd najłatwiej dostać się na szczyt Bliżnicy. Droga prowadzi wzdłuż wyciągu przez Żandarma i trzeba przyznać, że widoki ze szczytu są naprawdę piękne i bardzo rozległe.

Po zdobyciu szczytu szybko wróciliśmy na dół, gdzie czekał Дмитро, by przejechać do Bystricy, czyli dawnej Rafajłowej, skąd mieliśmy wyruszyć na najwyższy szczyt w Gorganach – Wielką Sywulę (1836 m n.p.m.). Ranek przywitał nas niespodzianką, bowiem padał deszcz, ale to był ostatni szczyt do zdobycia i bez względu na pogodę musieliśmy trzymać się planu. Muszę przyznać, że to była najdłuższa wędrówka – 34 km po górach w deszczu, który to się wzmacniał, to przestawał padać.

W Gorganach jest mnóstwo rumowisk skalnych, przypominających te znane nam z Gór Świętokrzyskich, tylko bardziej rozległych. Wędrówka przez nie była dość uciążliwa i chwilami niebezpieczna. Ogromne przestrzenie kosodrzewiny w partiach podszczytowych również mocno utrudniały wędrówkę. Ale udało się! Zdobyliśmy ostatni szczyt do Korony Beskidów Ukraińskich, a tym samym kilkoro z nas ma też WIELKĄ KORONĘ BESKIDÓW! Pozostało więc tylko szczęśliwie wrócić do miejsca noclegowego – „Biernat House” w Rafajłowej.

Jesteśmy dumni, że ta wyprawa ukraińska zakończyła się powodzeniem, że nikomu nic się nie stało w trakcie wędrówki. Na szlakach i miejscowościach spotykaliśmy wspaniałych, życzliwych ludzi, którzy dawali rady i wskazówki. Nigdy nie spotkał się chochy z najmniejszą niechęcią, wręcz przeciwnie. Jesteśmy zauróczeni górami Ukrainy i jej mieszkańcami. I na pewno tam wrócimy!



Na szczycie Bliżnicy

Fot. archiwum PTT Ostrowiec Św.

## Tatrzański czerwiec

Tegoroczny rajd „Perciami Ku Wierchom” organizowany przez radomski oddział PTT był już piętnastym z kolei rajdem zorganizowanym w Tatrach Polskich i Słowackich. W związku ze skromnym jubileuszem, rajd nasz miał trochę bardziej uroczystą oprawę i odpowiednio dobrane trasy i wycieczki. Rajdem tym zainaugurowano także obchody przypadającego w listopadzie br. XXV-lecia istnienia naszego Oddziału.

Zacznę jednak relację z rajdu tradycyjnie, czyli od opisu naszych wycieczek. Spotkanie z Tatrami rozpoczęło się we wtorek 15 czerwca zjazdem uczestników rajdu do Zakopanego, do gościnnej stacji turystycznej PTT „Willa Baja”.

Niektórzy z uczestników rajdu przyjechali już na kwaterę w sobotę i niedzielę, organizując sobie dodatkowe wycieczki na własną rękę. Oficjalnie rajd rozpoczął się w środę wczesnym śniadaniem, następnie wszyscy szybko wsiadliśmy do podstawionych busów i pojechaliśmy do Kuźnic.

Słońko świeciło już dosyć mocno, pościągaliśmy wierzchnie okrycia i ruszyliśmy z ochotą na naszą dzisiejszą wycieczkę. Trasa nie była długa ani uciążliwa, przebiegała przez Kalatówki, Przełęcz Kondracką, Giewont, Dolinę Strążyską do Zakopanego. Na początek krótki postój i wizyta w hotelu górskim na Kalatówkach, pamiątkowe zdjęcia na tle przejeżdżających wagoników kolejki linowej i Myślenickich Turni.

Następnie niedługi spacer i już byliśmy w schronisku na Hali Kondratowej, tu także krótki postój na herbatkę i sesję zdjęciową i dalej na szlak. Dochodzimy do Przełęczy Kondrackiej, tu czekamy na dościsze wszystkich uczestników dzisiejszej wycieczki i całą grupą podchodzimy na Giewont.

Nie mogło zabraknąć na Jubileuszowym Rajdzie - góry symbolu - jakim jest Giewont, ze swoim z daleka widocznym krzyżem i śpiącymi pod górą rycerzami, dlatego nasza pierwsza trasa prowadziła właśnie przez ten najbardziej znany i rozpoznawalny szczyt w Polskich Tatrach.

Zbliżając się do Giewontu usłyszeliśmy, jakby dochodzący z nieba chóralny śpiew kobiety, mocno zaintrygowani podchodziliśmy coraz bliżej, śpiew był coraz głośniejszy i wyraźniejszy. Wreszcie podchodzimy pod szczyt i coś dostrzegamy, u podnóża wierzchołka widzimy kilka kobiet w góralskich strojach, śpiewające ludowe pioseneczki. Ich śpiew roznosił się szerokim echem po okolicy. Miło było spędzić kilka chwil w towarzystwie sympatycznych góralek i zdobywać Giewont jednocześnie słuchając ich śpiewania. Jeszcze przez jakiś czas schodząc z Giewontu słyszeliśmy dochodzące z góry śpiewy. Był to dla nas bardzo miły akcent, jakby



Fot. Janusz Barszcz - PTT Radom

Uczestnicy rajdu na Kalatówkach

uhonorowanie naszego jubileuszu koncertem na jednej z najładniejszych i najważniejszych dla nas turystów i Polaków gór.

Schodzimy do Wyżniej Przełęczy Kondrackiej i szlakiem czerwonym przez Przełęcz w Grzybowcu, dochodzimy do Doliny Strążyskiej. Bufet znajdujący się w Dolinie był akurat nieczynny, więc towarzystwo mając spory zapas czasu postanowiło udać się na spacer do Siklawicy.

Spacer niedługi, lecz wymagający umiejętności manewrowania między tłumem wędrujących w obie strony turystów, uporawszy się z niedogodnościami, dotarliśmy do wodospadu i z powrotem i nie mitrząc już czasu, ruszyliśmy szlakiem czerwonym do Zakopanego. Udało nam się spokojnie dotrzeć do kwatery i zdążyć na obiadokolację.

Następnego dnia, aby naprawdę godnie uczcić nasz jubileusz, zgodnie z planem ruszyliśmy zdobywać szczyt uważany za najwyższy w Polsce, czyli Rysy. Tu muszę wyjaśnić, że za wszelką cenę staraliśmy się zorganizować wejście na Rysy i zejście od strony polskiej, ale ze względów bezpieczeństwa i organizacyjnych zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Zorganizowaliśmy dowóz uczestników do Popradzkiego Plesa, aby wejść i zejść po stronie słowackiej.

W ten sposób zdobycie Rysów stało się możliwe dla szerszego grona uczestników naszego rajdu. Faktycznie frekwencja na Rysy była ogromna, pojechało na Słowację około 90 % uczestników rajdu. Tym razem wycieczkę rozpoczęliśmy bardzo wcześnie, wyjazdem busem o godz. 5:30 spod kwatery. Zaopatrzeni w suchy prowiant przez panią Marię, naszą miłą gospodynię, właścicielkę „Pensjonatu Baja”, wsiadamy do busów i ruszamy na zdobywanie Rysów. Pogoda w dalszym ciągu wspaniała, słoneczna i lekko wietrzna, wspaniałe warunki do wędrowania.

Busy podwoziły nas do przystanku „elektriczki” Popradzkie Pleso. Stąd szlakiem niebieskim do węzła szlaków przy Popradzkim Plese, bez zatrzymywania dalej do szlaku czerwonego i mozolne wspinanie się ścieżką pośród głazowisk skalnych, mijając po drodze piękne Żabie Pleso, docieramy do schroniska „Chata pod Rysami”. Trochę zmęczeni robimy przerwę na odpoczynek i posiłek, ludzi bardzo dużo, trudno znaleźć wolne miejsce, wreszcie z wolności się stolik, siadamy stłoczeni i zabieramy się do konsumpcji kanapek.

Posileni i wypoczęci ruszamy na Rysy. Po niecałej godzinie docieramy na szczyt, na górze mrowie ludzi nie ma gdzie nogi postawić, czekamy na zwolnienie miejsca na szczycie, żeby zrobić zdjęcie. Opuśczaemy wkrótce szczyt i udajemy się w drogę powrotną, nie zatrzymujemy się w „Chacie pod Rysami”, schodzimy bez odpoczynku aż do Horský Hotelu Popradzkie Pleso, tu dopiero robimy dłuższą przerwę na porządną posiłek.

Było jeszcze sporo czasu do ustalonej pory odjazdu busa z zastawki Popradzkie Pleso, więc nikt nie spieszył się do powrotu. Zajęliśmy kilka stolików w restauracji zamówiliśmy posiłki i napoje, była miła i sympatyczna atmosfera. Były opowieści o przygodach na dzisiejszej trasie, dowcipy i wspominki. Co jakiś czas dochodzili do nas kolejni nasi koledzy i koleżanki z rajdu, gdy dotarł do nas ostatni ze zdobywców Rysów, ruszyliśmy w drogę powrotną.

Szliśmy bez pośpiechu wygodną drogą jezdnią na umówione miejsce, gdzie mają oczekiwać na nas busy. Dotarliśmy przed czasem, czekaliśmy na busy jeszcze około 20 min. Grupę mieliśmy naprawdę solidną, nikt nie odstawał, nikt się nie spóźniał, wszystko poszło sprawnie i bez zgrzytów. Gdy zajechały busy nie czekaliśmy na nikogo, zapakowaliśmy się do środka i po-



Uczestnicy rajdu nad Popradzkim Plesem

wrót na kwaterę i posiłek. Obiadokolacja, a właściwie kolacja była późno, bo o godz. 19:30, ale nikt nie marudził, nawet nieliczna garstka, która nie była z nami, a była skazana na wspólny posiłek.

Kolejny dzień też związany był z symbolicznym szczytem, z Kasprowym Wierchem. Szczyt znany wielu Polakom i chętnie odwiedzany, łatwo dostępny poprzez wjazd kolejką linową, na jego zboczach malownicze zabudowania stacji meteorologicznej, górna stacja kolejki linowej i wyciągu krzesełkowego, wspaniałe widoki na Giewont i duży obszar Tatr.

My, jak zwykle rozpoczęliśmy dzień wspólnym śniadaniem, następnie busami do Kuźnic i pieszo szlakiem zielonym na Myślenickie Turnie. Pogoda nie była już tak wspaniała, jak w poprzednich dwóch dniach, najważniejsze jednak, że nie padało, było chłodno i pochmurno. Szliśmy opatuleni w ciepłe kurtki i czapki, stopniowo podchodząc na Myślenickie Turnie i stację pośrednią kolejki linowej. Szliśmy monotonna nigdzie się nie zatrzymując i nie odpoczywając, niski pułap chmur nie pozwalał na podziwianie krajobrazu. W ten sposób dotarliśmy na Kasprowy Wierch, na szczycie trochę roziewało nisko przewijające się chmury

pozwalając chwilami na podziwianie widoków ze szczytu i zrobienie kilku fotek. Jednak nie dało się zbyt długo pobyć na szczycie, bo wiatr był zbyt porwisty i zimny. Uciekliśmy szybko do ciepłutkiej i przytulnej pomieszczenia restauracji na Kasprowym Wierchu. Ciepły posiłek przydał nam się bardzo, szybko rozgrzał nasze zziębnięte ciała. Odpoczęliśmy troszkę w ciepłych pomieszczeniach. Ponownie założyliśmy ciepłe kurtki i czapki i na trasę, aby szlakiem czerwonym do Suchej Przełęczy i dalej żółtym dotrzeć do Murowańca. Pogoda trochę się poprawiła, zrobiło się cieplej i chmury się rozwiały, zanim doszliśmy do schroniska, to już zdążyliśmy pościągać ciepłe odzienia.

W Murowańcu, oczywiście krótki odpoczynek i dalej przez Przełęcz między Kopami do Doliny Jaworzynka. Nasze wędrówanie zrobiło się nawet dosyć przyjemne, wyszło słońce, wiatr zelżał, szło się bardzo fajnie. Nawet nie wiadomo, kiedy przeszliśmy przez Jaworzynkę, dochodząc do Kuźnic. Tu na busy i na kwaterę i posiłek.

Po dzisiejszej wycieczce i obiedzie było w planie ognisko rajdowe. Spotkaliśmy się wszyscy przed kwaterą o godz. 19:30

na ognisku rajdowym. W związku z XV Jubileuszowym Rajdem „Perciami Ku Wierchom” ognisko miało bardziej uroczysty charakter. Na początek prezes Oddziału Krzysztof Zdrał przywitał zaproszonych gości i podziękował uczestnikom za udział, w tym i poprzednich rajdach tatrzańskich, zapraszając jednocześnie do udziału w następnych. Następnie wręczył uczestnikom pamiątkowe dyplomy i okazjonalne znaczki rajdowe.

Z kolei zabrał głos Janusz Smolka, założyciel i wieloletni Prezes naszego Oddziału im. dr. T. Chałubińskiego w Radomiu. Przedstawił w zwięzłej formie historię Oddziału, rajdów tatrzańskich oraz anegdoty i przypowieści związane z Tatrami.

Po części oficjalnej, nastąpiła nieoficjalna, czyli bigosik, kielbaski, ciepła herbatka. Było jeszcze wiele opowieści, dyskusji i pytań, ognisko trwało do późnych godzin wieczornych.

Sobota, ostatni dzień naszego rajdu podzielony był na dwie części. Zapropnowano wycieczkę pieszą po Zakopanem, trasą związaną z pamiątkami po naszym patronie, Tytusie Chałubińskim oraz trasę pieszą na Gęsią Szyję. Ponieważ proporcja uczestników rozłożyła się w stosunku 1:4 opiszę trasę, gdzie brało udział więcej uczestników, czyli Gęsią Szyję.

Jak zwykle po śniadaniu podjechaliśmy busami na trasę, tym razem na Wierch Poroniec. Wypakowaliśmy się z busów na parkingu i rozpoczęliśmy wędrówkę szlakiem zielonym. Pogoda znowu nie była zbyt łaskawa, było pochmurnie i zimno, a co gorsze z minuty na minutę robiła się coraz gorsza. Jeszcze zdążyliśmy dojść do Rusinowej Polany i obejrzeć Wiktórkę, przy w miarę znośnej pogodzie, ale już wchodząc na Gęsią Szyję zaczynało popadywać. Na samej Gęsiej już padało kapuśniaczką, a schodząc na Równię Waksmundzką padało już równo, czyli non stop.

Zmuszeni warunkami pogodowymi skorygowaliśmy naszą trasę, mieliśmy iść na Kopieniec i Nosala, ale skróciliśmy trasę do Toporowej Cyrhli, stąd autobusem do Zakopanego. Deszcz nie przestawał padać do końca dnia, więc nie wychodziliśmy już nigdzie. Następnym dniem był dzień wyjazdów do domów.

**JANUSZ PILSZAK** (K/Kozy)

## Mały Szlak Beskidzki w wnukiem

W niedzielę, 3 czerwca przestało padać około godziny dziewiątej, gdy przejeżdżaliśmy przez Maków Podhalański. Czterdzieści minut później Dagmara, mama Dominika zaparkowała samochód w Rabce Zaryte i niebieskim szlakiem zaczęliśmy podchodzić pod Luboń Wielki.

Dagmara z Piotrem z lekkimi plecaczkami, a ja z Dominikiem z plecakami

pełnymi ciuchów i sprzętu biwakowego. Półtorej godziny później byliśmy już na szczycie. Zjedliśmy kanapki, z Piotrem wypiliśmy po piwie, zrobiliśmy wspólne pamiątkowe zdjęcie i odprowadziliśmy Dąmarę i Piotra do szlaku żółtego prowadzącego z powrotem do Rabki Zaryte, przez znajdujący się na zboczu tej góry niezwykle urokliwy rezerwat przyrody

nieożywionej. Tak rozpoczęła się nasza wędrówka Małym Szlakiem Beskidzkim z Lubonia Wielkiego do Straconki.

Na przełęcz Glisne schodziliśmy bardzo wolno, ze względu na duże nachylenie stoku, który po porannych intensywnych opadach deszczu stał się dodatkowo bardzo śliski. Stąd przez Szczebel dotarliśmy do Mszany Dolnej, a następnie do Kasinki



Początek wędrówki na Lubniu Wielkim

Małej. Tu czekało na nas dwukilometrowe podejście do znajdującej się na zboczu Lubogoszcz Bazy Szkolno-Wypoczynkowej (600 m n.p.m.).

W tym miejscu postanowiliśmy spędzić noc. Pani Basia, kierownik Bazy, przyjęła nas bardzo serdecznie. Dostaliśmy wygodny pokój za 60 zł, a za kolejne 30 zł obiadokolację, składającą się z zupy pomidorowej (cała waza była dla nas) i drugiego dania – kotleta schabowego – co niezmiernie ucieszyło Dominika. Do tego dostaliśmy dwa dzbanki (1,5 l) kompotu!

Po posiłku niemal natychmiast poszliśmy spać. W ten sposób dobiegł końca bardzo ciepły i parny, pierwszy dzień naszej wędrówki MSB, podczas którego przeszliśmy 15,7 km.

Poniedziałek rozpoczął się potężną burzą, która ucihła około godziny szóstej rano. Szybko spakowaliśmy plecaki i poszliśmy na śniadanie. W kuchni Bazy dostaliśmy dzbanek herbaty. Kanapki mieliśmy jeszcze z domu i należało je natychmiast zjeść, by się nie zepsuły. Poprosiłem też Szefową kuchni o kawę. Kiedy chcieliśmy za herbatę i kawę zapłacić usłyszeliśmy „na zdrowie”.

Około ósmej wyszliśmy na szlak. Przez Lubogoszcz dotarliśmy do Kasinki Wielkiej. Tu Dominik zrobił niezbędne zakupy spożywcze. Następnie przez przełęcz Wielkie Drogi i Wierzbanowską Górę dotarliśmy na szczyt Lubomira. Był to kolejny bardzo ciepły i parny dzień. Zatem szczególnie długie podejście pod ten szczyt dało się nam mocno we znaki. Obok Obserwatorium Astronomicznego im. Tadeusza Banachiewicza urządziliśmy kilkunastominutowy biwak.

Około szesnastej, po przejściu 23,3 km dotarliśmy do Schroniska Kudłacz, w którym dostaliśmy sześciuosobowy pokój na piętrze za 50 zł (gospodarze uwzględnili zniżki dla członków PTT). Prowadziły do niego nader karkołomne schody. Miał on tę zaletę, że spaliśmy w nim sami i tę wadę, że pomimo trzydziestu stopni na

zewnątrz, wieczorem działało w nim centralne ogrzewanie, którego w żaden sposób nie dało się wyłączyć. Prysznic mogliśmy wziąć dopiero o dziewiętnastej ze względu na brak ciepłej wody. Na kolację kupiliśmy żurek i naleśniki z serem (48 zł).

Kolejny ranek przywitał nas przepiękną, słoneczną pogodą. Na śniadanie zjedliśmy jajecznicę z kiełbasą. Wraz z herbatą i kawą zapłaciliśmy 29 zł. Ze Schroniska Kudłacz wyszliśmy o ósmej i przez Działek i Ukleję doszliśmy do Myślenic. Tu w Delikatesach zrobiliśmy niezbędne zakupy i ruszyliśmy na Plebańską Górę.

Przy niemal trzystuletniej kapliczce poświęconej św. Mikołajowi (od 1945 r. również św. Hubertowi) zrobiliśmy półgodzinny postój. W tym miejscu w czasie ostatniej wojny spotykały się różne oddziały partyzanckie. Dzisiaj spotykają się tu także różne grupy. Jedna z nich pozostawiła w tym pięknym miejscu istny śmietnik. Na ogromnym metalowym grillu stało piętnaście pustych butelek po „żubrówce” i „wyborowej”, a obok dwa wielkie wory pełne puszek po piwie. Tu spotkaliśmy małżeństwo z Myślenic, które pomimo już podeszłego wieku (78 i 76 lat) trudniło się zarobkowo zbieraniem i sprzedażą grzybów. Miło było z nimi porozmawiać na tym pustkowiu.

Sularzowa i Babica, to kolejne szczyty w Beskidzie Makowskim, przez które przeszliśmy tego dnia. Po przejściu kolejnych kilku kilometrów (w sumie 27,8) mieliśmy już dosyć i zaczęliśmy się rozglądać za noclegiem. Nie była to łatwa sprawa ponieważ pierwsze, zaznaczone na mapie takie miejsce, znajdowało się dopiero w Zembrzycach (jakiś 16 km dalej).

Kiedy mijaliśmy ostatni (z pięciu) domów w Przysiółku Końcówka, około dwa kilometry przed Palcą, przejeżdżał koło nas samochód osobowy. Zatrzymaliśmy go i zapytaliśmy kierowcę o możliwość noclegu w okolicy. Niestety nie miał dla nas dobrych wiadomości, ale poradził nam byśmy zawrócili i zapytali, w którymś z dopiero co mijanych domów. I tak też zrobiliśmy. Już w pierwszym, drzwi otworzyła nam ubrana w piękny ludowy strój pani Maria i bez zbędnych pytań przyjęła nas na nocleg. Jakby tego było mało, po zaprowadzeniu nas na poddasze (całe było do naszej dyspozycji: kuchnia, jadalnia, pokój dzienny, sypialnia i łazienka) poinformowała nas, że właśnie udaje się do kościoła. Po chwili zostaliśmy w całym domu sami.

W dzisiejszym świecie – domów zamkniętych twierdz – ufnosć i gościnność pani Marii była tak niezwykła, że nas po prostu zamurowała. A to nie było jeszcze wszystko. Gdy po dwóch godzinach pani Maria wróciła z kościoła zeszliśmy na dół, by opłacić nasz pobyt u Niej. Za nocleg, kolację i śniadanie zapłaciliśmy zaledwie 60 zł.

W środę, po wspaniałym śniadaniu przygotowanym przez panią Marię, o siód-

mej z minutami, wyruszyliśmy na szlak. Pierwszy etap tego dnia obejmował przejście przez Palcę i Górę Chełm do Zembrzyc (ok. 14 km). Pogoda dopisywała, więc posuwaliśmy się szybko do przodu. Przechodząc obok Ośrodka Wypoczynkowo-Rekolekcyjnego Totus Tuus im. Kardynała Karola Wojtyły, znajdującego się na przedmieściach Zembrzyc, spotkaliśmy dwie panie około czterdziestki, które zapytały o możliwość kupienia tu obiadu. Poradziły nam byśmy udali się do kuchni (one uczestniczyły, w tym ośrodku, w turnusie „odtruwania” organizmu przy pomocy kaszy jaglanej). Z kuchni skierowano nas do dyrektora ośrodka. Obiadu nie udało się nam kupić, ale poczęstowano nas półmiskiem schabu ze śliwkami i wędlinami oraz pysznymi, świeżymi bułeczkami. Za darmo!

W południe ruszyliśmy w dalszą drogę. Minęliśmy Zembrzyc, most na Skawie i przez Gałuszkową Górę, Żurawicę około szesnastej doszliśmy do Krzeszowa. Przed nami było jeszcze podejście południowym zboczem Leskowca do Schroniska na Groniu Jana Pawła II. Zajęło nam to dwie godziny. O osiemnastej, po przejściu 32 km dotarliśmy na miejsce. Dostaliśmy dziewięcioosobowy pokój za 55 zł. Na kolację zamówiliśmy sobie żurek z jajkiem i naleśniki z serem (48 zł). Około dwudziestej poszliśmy spać, choć do zachodu słońca pozostała jeszcze godzina. Jutro czekał nas prawdziwy pieszy maraton.

Na śniadanie zamówiliśmy jajecznicę z kiełbasą (+herbata i kawa – 33zł) i o ósmej byliśmy już na szczycie Leskowca. Przez Łamaną Skałę i Potrójną, w południe, dotarliśmy na przełęcz Kocierska. Tu w Zajeźdźcie zamówiliśmy sobie bogaty obiad za 110 zł. Następnie przez Wielką Cisową Grapę dotarliśmy na Górę Żar, gdzie uzupełniliśmy napoje (18 zł za 4 butelki 0,33 l!) i pognaliśmy w dół do Żarnówki.

Po przejściu zapory na rzece Sole, zaczęło się niełatwe podejście pod Bujakowską Górę. O osiemnastej, dosłownie na dwie minuty, zatrzymaliśmy się w schronisku na Hrobaczkiej Łące, by następnie przez przełęcz „u Panienki” i Gaiki, o dwudziestej dwadzieścia siedem, po pokonaniu tego dnia 44,1 km, dotrzeć do Straconki.

W ten oto sposób po przejściu 142,9 km w ciągu pięciu dni przeszliśmy Mały Szlak Beskidzki.



Dominik na Żarze – to jeszcze nie koniec...

TERESA KARBOWNICZEK (O/Ostrowiec Św.)

## Pożegnanie wakacji w Tatrach

W dniach 24-26 sierpnia 2018 r. dwunastoosobowa grupa członków PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim wybrała się w Tatry. Wczesnym rankiem trzema autami wyjechaliśmy w kierunku Zakopanego, zatrzymując się na parkingu przy wejściu do Doliny Chochołowskiej. Zmiana obuwia, zabranie prowiantu i plecaków

zajął nam kilkanaście minut, po czym ruszyliśmy długą doliną w kierunku Grzesia. Tu na szczycie jedna z naszych koleżanek – Teresa Kupracz została uroczystie przejęta w poczet członków naszego Oddziału. Dalej pomaszerowaliśmy przez Rakoń na przełęcz pod Wołowcem, niestety czas biegł nieubłagalnie i musie-

liśmy zejść zielonym szlakiem w kierunku schroniska na Polanie Chochołowskiej i dalej. Do parkingu dotarliśmy o 21.15, a na naszą kwaterę przed 22.00. Byliśmy trochę zmęczeni, bo dzień był dość intensywny.

Następnego dnia nasze plany zweryfikowała pogoda, już w nocy padał deszcz, rano mżawka i chłodno. Postanowiliśmy przejść utartym szlakiem, tj. przez Dolinę Strążyską, ścieżką nad regłami przez Sarnią Skałę i zejść Dol. Białego – trasa urokliwa i znacznie mniej męcząca. Resztę dnia spędziliśmy spacerując po Zakopanem.

W niedzielę po wykwaterowaniu ruszyliśmy do Orawicy na Słowacji, gdzie oddaliśmy się wspaniałemu i zasłużonemu lenistwu – zażywaliśmy leczniczych kąpeli w basenach termalnych pomimo padającej mżawki. Był to balsam na nasze zmęczone „nóżki”. Około 13.30 wyruszyliśmy w wyśmienitych humorach w drogę powrotną do domu. Wyjazd pomimo załamania pogodowego był naprawdę bardzo udany.

Fot. Teresa Karbowniczek – PTT Ostrowiec Św.



Uczestnicy wyjazdu na Sarniej Skale

MARCIN KOLONKO (O/Kraków)

## Wakacyjna Bystra

Słowackie Tatry Zachodnie w ciągu lata wcale nie porażają – tak jak rodzime – ilością ludzi na szlakach. Słowacki TANAP skutecznie sobie radzi z antropopresją, (czyli nadmiernym wpływem człowieka na środowisko naturalne) zamykając na ponad pół roku górne części szlaków w tamtejszych Tatrach.

Pomysł chodził nam po głowie przez parę tygodni, aż w końcu zaowocował dokonaną na booking.com rezerwacją małego pokoiku w pensjonacie Pohoda w Podbańskim. Dojechawszy na miejsce w sobotę rano (a właściwie przed południem) wzięliśmy od sympatycznego Słowaka – właściciela klucze i w drogę!

Celem nie była jakaś (w stosunkach tatrzańskich) wybitna kulminacja, ale podejście na Bystrą – bo na nią ostatecznie zdecydowaliśmy się wdrapać – zajęło nam dobre 5 godzin.

Mijaliśmy turystów, ale z racji faktu, iż nie było ich wielu – wiedzeni chęcią nawiązania paru słów kontaktu (m.in. z parą starszych państwa z Holandii) trafiliśmy na miłą odpowiedź. Co znaczy nie być anonimowym a jednocześnie nie podawać wszem i wobec szczegółów swego życia – to możliwe w górach, na Camino, może w jakiś enklawach gdzie ludzie z natury życzą innym dobrze.

Po trzech i pół godziny – na moją, przyznam, prośbę – odbyliśmy półgodzinny popas na wysokości około 1800 m n.p.m.

Przed nami było wejście na grań i kontynuacja grzbietem, który wydawał się nam z dołu płaski – jakież mylne wrażenie, zważywszy na fakt, że trzeba tam było podejść 250 m, a strome wejście zakosami na grań miało zaledwie 150-200 m przewyższenia. Mielśmy aplikację „Mapa turystyczna” (ech, *signum temporis*...) z wgraną poziomnicówką Tatr i lokalizator GPS w telefonie.

Gdy już wdrapaliśmy się na grań, zobaczyliśmy, że nie jesteśmy sami. Byliśmy co prawda ostatnimi *Homo sapiens* (i może jeszcze *sapiensis*) na szczycie tego dnia, jednak spod szczytu Bystrej towarzyszyły nam dwie lub trzy kozice, które nic sobie z nas nie robiły. Minimalne odległości to trzy metry, i to bez nachalności z naszej strony. Chyba one były bardziej ciekawe, prowokowały pozując niczym modelki na całym szlaku z Bystrej przez Błyszcz (skrótom, łatwą nieoznakowaną ścieżką) aż do Pyszniańskiej Przełęczy – a więc przez dobre ponad półtorej godziny marszu!

Na Bystrej Ania znalazła minerał – jakby pomalowany srebrną farbą kamyczek. Tuż obok drugi. I trzeci... Pomyśleliśmy o hematycie, tylko że ta srebrzystość sugerowała błyszcz, ale ołowiu. Podobno nie od niego Błyszcz ma nazwę (tylko, że z daleka błyszcz się w słoneczny dzień), ale kto wie, wszak Tatry były terenem poży-



Fot. Marcin Kolonko – PTT Kraków

skiwania różnych rud, w tym i uranu (pierwiastka dużo rzadszego niż ołów, nie mówiąc o żelazie). Więc co było pierwsze – jajko czy kura? Internet zapewne zna odpowiedź.

Na Przełęczy, z poziomu 1755 m n.p.m. obejrzelśmy bajecznie kolorowy zachód słońca, a potem czekający w śpiworku na Perseidy pan pocieszył nas, że na dole będziemy po 23.00. I rzeczywiście – nie obyło się bez przygody, w której omal nie straciłem czołówki (pół biedy) i okularów – sytuację uratował refleks i sokoło oko Ani. Nawet nie zjechałem do samego strumyka, ot zaplątałem się w jakieś chaszcze i potem skorzystałem z podanej damskiej ręki i wdrapałem się z powrotem na szlak.

Na dole byliśmy – po małym kluczeniu w związku ze słabym punktem (w generalnie dobrze oznaczonym) szlaku – około 23.30. Jeszcze tylko znaleźć pensjonat (to jakoś w dzień inaczej wyglądało...) i do kąpeli. Ileż uciechy mieliśmy widząc pana od Perseidów idącego z płachtą założoną na plecak następnego dnia rano – zachód był zabójczy, ale w nocy się rozlało.

## Śladami Cezarego Baryki po Gruzji i Azerbejdżanie

17 sierpnia po 22 dniach powróciła kolejna wyprawa Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddziału Beskid z wojaży po Gruzji i Azerbejdżanie pt. „Śladami Cezarego Baryki”. Sądząc po ilości przygotód i przeciwności można ją bardziej porównać do Eneidy, ale z równie pozytywnym zakończeniem. Zakładanego głównego celu, czyli zdobycia Kazbega z powodów obiektywnych (zła pogoda, lawiny i duża ilość świeżego śniegu) nie udało się zrealizować, co większość przyjęła z pokorą ludzi gór. Zwiedziliśmy 9 krajów i również tyle samo przejść granicznych. Niektóre przekraczaliśmy 6 godzin, a niektóre nawet za drugim podejściem. Okazało się, że zmieniły się przepisy i kierowcy musieli posiadać wizy pracowników, co wiązało się z wizytą w konsulacie Turcji w Płowdiw. Akurat była niedziela, więc trzeba poszukiwać noclegu w pobliżu granicy w Svilengradzie. Robert Cempa z pomocą Arka taki nocleg znalazł szybko, więc udajemy się na nocleg. Miasto nieco chaotyczne, choć nie pozabawione zabytków czy atrakcji, np. Wielki most Mustafy Paszy z 1529 r. na rzece Maricy.

Plany trzeba korygować ponieważ w pierwszym dniu załatwiania (poniedziałek) nie uzyskano wiz, dopiero w dniu kolejnym. To dopiero falstart. Wjeżdżamy do Turcji z 2 dniowym opóźnieniem. Trzeba odwoływać noclegi, korygować plany. Zwiedzamy nocą Istanbuł w jego zabytkowym starym centrum w tłumie turystów i turystek dość często zakrytych hadżibem-nikabem. Nocny przejazd w stronę granicy z Gruzją aż po kres możliwości kierowców w okolicach Trazbonu w Vakfikebir. Tam nocujemy i nieco zwiedzamy okolice hotelu, który załatwiamy *ad hoc*. Koloryt i temperament jakże inny od znanych nam.

Smakuje nam miejscowa herbata, bo przecież to zagłębie słynnej tureckiej herbaty. Mężczyźni wydaje się, że piją tylko herbatę.

Rankiem wyruszamy w stronę Batumi i docieramy do granicy przed południem, ale kolejka autokarów i samochodów bardzo długa. Po ok 6 godzinach jesteśmy w Gruzji. Zwiedzamy już o zmierzchu Batumi i ruszamy w stronę Kutaisi, gdzie mamy zastępczy nocleg, odwołując noclegi w Achalciche. Docieramy pod hotel około godziny 23. Rankiem po śniadaniu ruszamy w stronę Tbilisi zwiedzając pośpiesznie stolicę Gruzji, by dalej ruszyć w stronę granicy Azerskiej.

Przekraczanie granicy azerskiej przypomina nieco zamierzchłe czasy. Za każdym przejazdem pojazdu zamykana jest duża żelazna brama. My również czekamy przed bramą dla pasażerów aż otworzy ją ktoś za dobre 40 minut. Uważnie kon-

trolowani przechodzimy na terytorium Azerbejdżanu. Przejeżdżamy do Gandzy, to drugie liczące 330 tys. miasto Azerbejdżanu. Według legendy Gandza to skarb w języku arabskim i właśnie ten skarb miał się przyśnić władcy arabskiemu Muhammadowi ibn Khalidowi, który właśnie w tym miejscu założył miasto.

Nasza grupa śpi nieco za miastem nieopodal mauzoleum Nizamiego – poety perskiego, twórcy literatury perskiej. Nizami miał ogromny wpływ na literaturę muzułmańską, ale i europejską, np. „Dywan Wschodu i Zachodu” Goethego czy „Romeo i Julia” Szekspira. Znany klasyk rockowy „Layla” Erica Claptona to również utwór w strefie słownej nawiązujący do poezji Nizamiego.

Kolejny dzień spędzamy w położonym kilkanaście kilometrów na południe od Gandzy, Göygölskim Parku Narodowym, który powstał w 2008 roku na bazie starego rezerwatu przyrody – Jezioro Göygölskie z roku 1925. Dojeżdżamy na parking skąd ruszamy szosą, by za chwilę złapać marszrutkę do górnego jeziora. Od parkingu kierujemy się betonowymi schodami do górnego jeziora na wysokości ok. 2020 m. n.p.m. Nasi górcy zapaleńcy ruszają bez zwłoki w górę, w stronę grani. Ja zostaję z kilkoma osobami nad jeziorem. Nad jeziorem góruje szczyt przypominający nasz Giewont. Jest to uroczne miejsce ze wspaniałym powietrzem. Zaczynamy powrót, gdy nagle zaczyna padać deszcz. Nam się udaje prawie uniknąć deszczu znajdując schronienie w szopie przeznaczonej dla koni. Niestety, nasi górcy towarzysze musieli przeżyć dość gwałtowną i obfitującą w pioruny, deszcz i grad burzę. Nie muszę dodawać, że zejście w rozmoczonych stromych trawkach dostarczyło im nie lada trudności. Wracamy cali i zdrowi do Gandzy, wysiadając w jej centrum. aby coś zjeść.

Muszę przyznać, że Azerowie są bardzo gościnni i uczynni. Zaraz szybko nas obsługują i pytają co jakiś czas, czy coś nie potrzebujemy. Jedzenie z grilla smaczne, obfitujące w sałatki. Powracamy do hotelu po zmierzchu.

Kolejnego dnia zwiedzamy Gandzę, przecież to miasto założono w V wieku, choć prawa miejskie otrzymało w 859 roku. Powtórnie lokowane po zniszczeniach trzęsienia ziemi przez Abassa władcę perskiego ok. 8 km na wschód od pierwotnego założenia. Położenie na szlaku handlowym między Morzem Kaspijskim i Morzem Czarnym na jednym z wariantów tzw. Jedwabnego Szlaku doskonale rozwijało się. Do dziś zachowało się wiele licznych zabytków, w większości doskonale utrzymanych: Karawansaraj szacha Abassa, czy Ugurlu chana z XVII.

Karawansaraje to takie zajazdy dla wędrujących karawan, z pomieszczeniami dla towarów, zwierząt i dla podróżujących. Te obiekty w Gandzy są naprawdę imponujące i odzyskujące dawny blask i wygląd. Zwiedzamy Meczet piątkowy szacha Abassa z XVI wieku. Opiekun meczetu proponuje nam poprowadzenie do dumy muzułman, Sanktuarium i nekropoli Immamzada. Budowla zachwyca precyzją i kunsztownością wykonania. Dominuje spokój i wyciszenie, choć ludzi jest dość sporo. Stąd ruszamy w stronę półwyspu Apszerońskiego, w którego centrum położone jest największe miasto Azerbejdżanu Baku. Droga szybkiego ruchu jest bez zastrzeżeń. Tak, że w zasadzie bez przystanków docieramy do leżącego nieco na południe od Baku Gobustanu. To jedno z najbardziej jałowych i niegościnnych obszarów położonych na południowy zachód od Baku.

Terytorium Azerbejdżanu jest bardzo zróżnicowane przyrodniczo. W najwyższych partiach Kaukazu położonych w północnej części kraju występują łąki alpejskie, skały i lodowce, Góry Karabachskie i Tałyskie. Południową część kraju porastają gęste lasy, natomiast w środkowym Azerbejdżanie znajdują się stepy oraz półpustynie. Azerbejdżan jest także państwem, na którego obszarze znajduje się połowa wszystkich wulkanów błotnych na świecie. Z istniejących na świecie 800 wulkanów błotnych 350 znajduje się na terytorium Azerbejdżanu.

Co roku tysiące turystów odwiedza Azerbejdżan by podziwiać efektowne wybuchy wulkanów błotnych. Podczas wybuchu wulkanu błotnego dochodzi do erupcji gazu ziemnego, który przedostaje się do powierzchni ziemi. Zdarza się, że podczas wybuchu wulkanu słup ognia osiąga do 1000 m wysokości (np. wulkan Garasu).

Ale nasza grupa najpierw udaje się do będących na listach UNESCO naskalnych rysunków sprzed ponad 40 tys. lat. Gmach budynku parku archeologicznego okazały, a i ścieżki dydaktyczne uporządkowane i dobrze oznaczone. Wędrujemy poprzez park ostrożnie, ponieważ co rusz informują tabliczki przed niebezpiecznymi małymi węzami, podobno bardzo groźnymi. Naskalne malunki i rytzy wyraźne i bardzo ciekawe graficznie – bardzo uproszczone, a jednocześnie piękne w swej prostocie i wyrazie. Tańczący ludzie, bydło, zwierzęta jakby wyszły spod ręki nieco nonszalanckich wspaniałych grafików. To miejsce Azerowie uważają za swoją kolebkę.

Przodkowie Azerów byli obecnie na tych ziemiach od dziesiątek tysięcy lat co potwierdzają dokładne badania nad rysunkami. Ale na Południowym Kaukazie nic nie jest takie proste jak przedstawiają to oficjalne przekazy i źródła, jak

przedstawiają to poszczególne nacje. Dotyczy to nie tylko Azerów, ale i Ormian, Gruzinów, Osetyńców, Abchazów czy Ormian z Górnego Karabachu i innych nacji zamieszkujących ten tak zróżnicowany kraj. Azerowie uważają się za potomków ludów tureckich, wszak język turecki i azerski pokrywają się z 90%. Z drugiej strony historycy rządowi i państwowi odwołują się do tradycji Albanów Kaukaskich będących ludem indoeuropejskim o religii chrześcijańskiej, a większość Azerów to muzułmanie. Połowa muzułmanów jest szyitami, to ci którzy zamieszkują tereny bliżej Iranu, a druga połowa sunnitami w północnej części kraju.

Ale wracając do relacji, wychodząc z parku archeologicznego od razu jesteśmy nagabywani przez taksówkarzy oferujących przejazd do wulkanów błotnych. Na końcu pobliskiego miasteczka dogadujemy się z 5 taksówkarzami na kwotę 8 Aznarów. Nawet nie przypuszczałem, że będzie to fascynujące i pełne emocji safari przez półpustynne bezdroża. Kierowcy chcieli się nawzajem wyprzedzać, nie oszczędzając swoich wozów. Po powrocie z wulkanów do miasteczka, gdzie czekał na nas nasz bus, wszyscy byli podekscytowani właśnie tą jazdą, jakby spychając na dalszy plan kilkanaście wysokich od 1 metra do 3-5 metrów wulkanów wyrzucających co rusz ze swoich kraterów płynne błoto. Częściej leniwie od niechcenia, ale zdarzały się erupcje chlapiące obserwatorów. Podobno błoto ma właściwości lecznicze na choroby skóry i wcale nie tak łatwo można je usunąć z powierzchni skóry.

Jedziemy z Gobustanu wzdłuż wybrzeża Morza Kaspijskiego. Świetna okazja na wykąpanie się w tym największym słonym jeziorze bezodpływowym, liczącym ok. 370 tys. km<sup>2</sup>. Jezioro to jest podobnie jak Morze Czarne czy Śródziemne reliktem Oceanu Tetydy. Zasilane jest rzekami słodkowodnymi: Wołgą, Atrakiem, Kumą, gruzińsko-azerska Kurą, Terekiem czy Uralem. Średnia głębokość w północnej części tego morza wynosi 5-6 m, w środkowej 190 m, w południowej głębokość osiąga ponad 1 km. Z Morza Kaspijskiego poławiano Jesiotra, ale w związku z jego nadmiernym połowem na razie zaniechano, a na granicy sprawdzają szczególnie czy nie wywozi się kawioru najcenniejszego pośród kawiorów z tego gatunku ryb. Kąpiel w zachodzącym słońcu przynosi ukojenie po pełnym wrażeń dniu, zbieram muszelki, których w tym miejscu jest cała masa. Dojeżdżamy do naszego hotelu w Baku pod wieczór, kwaterujemy się i jeszcze około godziny 21 wyruszamy na nocne zwiedzanie Baku.

Baku to dwumilionowe miasto budowane z rozmachem i niekiedy z przepychem. To najniżej tak wielkie położone miasto znajdujące się na wysokości -28 m poniżej poziomu morza. Wyruszamy do ścisłego centrum, ale poza starym miastem tzw. miastem wewnętrznym, podziwiamy budynki i budowle pięknie oświetlone zwłaszcza ogniste wieże (zespół trzech wieżowców – mieszkalny, hotelowy i biurowy), zmieniający żywe płomienie we flagę Azerbejdżanu. Na oświetlonym nabrzeżu widoczna wieża wiertnicza. Wszak Baku na ropie leży. To tutaj w drugiej połowie XIX wieku przybyli wszyscy, którzy chcieli na tej ropie zarobić wielkie pieniądze. Przybyło tu również wielu Polaków: z Guberni rosyjskiej, z Królestwa, z Galicji.

Witold Leon Zglenicki, to on, zesłany z państwowej posady w Królestwie, podejrzany o defraudowanie państwowych pieniędzy, w Baku podejmuje się wydobywania ropy naftowej z dna morza. Wcześniej zajmował się w Królestwie hutnictwem żelaza. Ponieważ był geologiem pasjonatem, również dokładnie określił pola naftowe i ich zasobność. Zbudował pierwszą na świecie platformę wiertniczą czyniąc z Baku prawdziwe naftowe Eldorado. Konstruował przyrządy do pomiaru prostopadłości wierceń, do pomiaru krzywizn wierceń darując je naftciarzom. Nawet szach Iranu docenił Go, za określenie i opisanie zasobów Iranu w ropę naftową. Można powiedzieć, że był pierwowzorem, archetypem ojca Cezarego Baryki, ponieważ prawie wszystkie swoje doczesne bogactwa przeznaczył na naukę polską, na jej rozwój, na stypendia dla zdolnych Polaków.



logo wyprawy PTT Beskid do Gruzji i Azerbejdżanu



pomnik Haydara Alijewa w Gandży



przy wulkanach błotnych w Gobustanie



rysunki naskalne w Gobustanie

Fot. archiwum PTT Nowy Sącz

Fot. archiwum PTT Nowy Sącz

Fot. archiwum PTT Nowy Sącz

Fot. archiwum PTT Nowy Sącz



wieżowce ognia w Baku w dzień...



...i nocą



przed katedrą Gelati w Kutaisi



zamglony Kaukaz

Inni polscy inżynierowie, naukowcy rozwijający swoje możliwości w Baku to: Aleksander Makowiński, Paweł Zdrodowski, Paweł Potocki, Stefan Skrzywan, Michał Abramowicz, Teodor Szumowski, Ludwik Młokosiewicz, Józef Jeśman. Również architekci mając finansowe wsparcie azerskich nowobogackich, a w tym również Polaków, rozwijali swoje fantazje i twórczość realizując wiele okazałych budynków i budowli. Józef Płoszko należący do najbardziej płodnego i inspirującego twórcy tamtych czasów. Fascynował się architekturą orientu, konstruując portale, okna na ośli grzbiet, wzbogacając je o elementy historyzmu, secesji, modernizmu. Cechowała go nieokiełzana fantazja i polot. Był wziętym architektem, dającym wiele zadowolenia i dumy swoim klientom, podobnie jak: Eugeniusz Skibiński, Józef Gosławski, Kazimierz Skórewicz. Wszyscy oni zapisali się w krajobrazie Baku, Azerbejdżanu złotymi zgłoskami. I wszyscy oni nie zapomnieli, że są Polakami w różny sposób wspierając Polskę i jej przetrwanie, stając się szlachetnym zaczynem nowopowstającej Polski. Dlatego w roku 100-lecia odzyskania niepodległości warto o nich pamiętać, wspominać.

Kolejnego dnia nasza wyprawa do południa zwiedza miasto wewnętrzne, wcześniej przejeżdżając przez miasto mijamy Centum Haydara Alijewa. Cóż za niecodzienny budynek zaprojektowany przez Zahę Hadid. To architektka pochodząca z Iraku, ale tworząca w Londynie. Realizowała np: przystanek tramwajowy w Strasburgu, skocznie w Bergisel w Innsbrucku. Ale ten budynek to jest zadziwiająco kompletny i inny niż kiedykolwiek widziałem. Szkoda, że ta architektka przedstawicielka dekonstruktywizmu już nie żyje i nic nie stworzy. Wchodzimy schodami wzdłuż kolejki szynowo terenowej na wzgórze nad miastem, wśród zieleni miejskiej, tutaj specjalnie doglądanej i chronionej. Rozciąga się oszałamiający widok na zatokę Bakijską, na wspomniane nabrzeże, ale i na budynki-wieżowce ognia.

Schodząc przekraczamy średniowieczne mury i natychmiast przed nami wylania się budynek Ambasady Polskiej. Dalej już wąskimi uliczkami docieramy do Wieży Dziewic, gdzie według archeologów znajdowała się tu zoroastryjska świątynia, zbudowana ponad 2500 lat temu. Dalej do Pałaców Szachów Szyrwanu, do hamamów, bramy kupców przez którą wjeżdżały karawany na szlaku jedwabnym. Miasto Baku było znane już od V wieku. W języku perskim „*Bad kube*” oznacza „miasto wiatrów”. Rzeczywiście, miasto położone jest na półwyspie i wiatry morskie dostają się do niego przynajmniej z trzech stron.

Po przerwie na posiłek powracamy do naszego busa podziemnym przejściem, które oślepia czystością i połyskiem. Wyruszamy jeszcze do miejscowości Surachany, gdzie zachowała się świątynia czcicieli ognia – Ateszgiach. Świątynia zbudowana została w miejscu, gdzie gaz stale wydobywa się spod ziemi i zapalony ogień już nie gaśnie. Miejsca wiecznwie palącego się „świętego” ognia były odwiedzane przez pielgrzymów z Indii – wyznawców religii Zoroastran. Nasza grupa również odwiedza to miejsce, wcześniej płacąc wejściówkę. Fotografowanie przy ogniu wymaga odporności na temperaturę, ale każdy chce zrobić sobie zdjęcie jak najbliżej ognia. Wychodzimy również na pobliskie wzgórze z widokiem na morze Kaspijskie. Później wyruszamy na pobliskie plażę, poopalać się i ochłodzić swoje ciała w morzu. Wieczorem powracamy do hotelu.

Następnego dnia z powodów opóźnień musimy wyjechać z Baku w stronę Lahicz. Najpierw odwiedzamy budowany przez Józefa Płoszko meczet piątkowy Dżuma w mieście Shamacha. Oczywiście ostatecznego szlif i dostojęstwa odzyskał dzięki Haydarowi Aliyewowi. Informuje nas o tym biały obelisk, znajdujący się na środku placu przed meczetem. Józef Płoszko nie miał funduszy na budowanie tak istotnych w islamie wież. Podobno konstrukcja centralnej kopuły była robiona w Warszawie według projektu Płoszki. Budowli nie ukończył z powodów braku finansów gminy, a później nadeszła wojna domowa i rewolucja robotnicza. Można mieć różne podejście do kultu jednostki Haydara Alijewa w Azerbejdżanie, ale jest to „nasze” zbudowane na europejskiej perspektywie i wiedzy podejście. Ten człowiek, sądząc po jego trwałych dokonaniach, dbał o wszy-

stkie zabytki, nie szczędząc funduszy na odnowę czy renowację. Widać, że znał się na tym bardzo dobrze i miał duży smak artystyczny. Meczeta ten właśnie budzi zachwyt kunsztem i precyzją odnowy. Nasze europejskie odnowy zabytków już po paru latach znaczą ząb czasu i wszelkiego rodzaju niedoróbki, bo to są pieniądze publiczne. Tutaj jest odwrotnie i właśnie ten meczet w miejscowości Shamachy jest tego doskonałym przykładem.

My w dalszym ciągu podróżujemy w stronę Lahic, skąd ma wyruszyć wycieczka na Babadag, świętą górę Azerów. Babadag znaczy „Góra Ojciec” i właśnie tam Azerowie wędrują, aby spełnić się ich życzenia. Jest to góra o wysokości 3629 m n.p.m. we wschodnim Kaukazie, położona zresztą niedaleko najwyższego szczytu Azerbejdżanu Bazarduzu 4466 m n.p.m. Z drogi krajowej należy skręcić na północ kilkanaście kilometrów w stronę Lahic. To baza wypadowa na Babadag. Kiedyś, zwłaszcza w średniowieczu miejscowość ta była ogromnym centrum snycerstwa i wszelkich wyrobów metalowych. Produkowano tam wyrafinowaną, broń palną, białą, uzbrojenie dla dworów monarszych i królewskich nie tylko wschodu, ale i zachodu. Jeszcze na początku XX wieku było tam ok. 200 warsztatów, a i obecnie nadal jest ich tam przynajmniej kilkanaście, choć na potrzeby turystów. Większość naszej grupy wynajmuje „gruzawika”, by podwioził ich około 30 km w głąb doliny do podnóża Babadagu. Gdyby nie doświadczenie i tempo grupy było by to niemożliwe, ponieważ była już godz. 11. Zasadnicza grupa dała radę, a Szymon Pyrc po kontuzji w znakomitym stylu zdobył górę, budząc wśród pozostałych będących niezłej kondycji turystów podziw. Parę osób weszło tylko na główną grań, ale i tak im gratuluje takiego wyczynu.

Ja z bratem i kierowcami pozostałem w Lahic, korzystając tam z posiłku w położonym w cieniistym ogrodzie barze. Potem zwiedzamy miasteczko, które składa się z kilkunastu wybrukowanych otoczek ulic, z działającym starym systemem odprowadzania ścieków w podziemnych kanałach. Co rusz znajduje się studnia, a w zasadzie naziemne podajniki wody. Budynki budowane są podobnie jak widziałem to w Bułgarskim Bansku w górach Piryn. Ściana kamienna domu co około 50 cm przeplatana jest dębową belką. Te belki tworzą jakby stelaż odporny nawet na trzęsienia ziemi. Przewodniki informują, że to jest jedyny innowacyjny system nigdzie indziej nie spotykany. Ludzie w malowniczych warsztatach i na straganach mają wygląd indoeuropejski. Jeden z rzemieślników, który graweruje naszemu kierowcy prezent dla jego żony, uśmiecha się szczerze i mówi: ja lubię Polaków, wczoraj było ich tutaj dwóch. Można tam znaleźć nie tylko wyroby metalowe, biżuterię, ale także zioła,

patelnie noże tasaki, przyrządy do grillowania, ale i tkaniny. Obecnie właśnie warsztaty włókiennicze, tkackie są magnesem przyciągającym turystów z Azerbejdżanu i ze świata. Nasi wracają około godziny 24 mocno zmęczeni. Pogoda była ładna, ale i trasa „gruzawikiem”, i sama górska wyczerpująca w tak krótkim czasie. Naszego busa i nas pilnowali „smutni” panowie, ale robią to dość dyskretnie i nienamolnie, rozpoznajemy ich już od pierwszych dni w Azerbejdżanie. Należy dodać, że przy wysiadaniu z „gruzawika” nasza Nina uległa wypadkowi, upadła całym ciałem na stalową osłonę tylnego koła. Nie była to jej wina, ponieważ ktoś pociągnął plandekę podcinając ją. Wyglądało to strasznie, ale Nina obolała i wijąca się z bólu okazała się bardzo dzielna i wsiadła do busa, który zmierzał ku granicy z Gruzją. Nad ranem bez specjalnych przygód mineliśmy granicę w miejscowości Codna. Jeszcze na granicy szybka wymiana aznarów na gruzińskie lari. Wjechaliśmy na terytorium Kacheti, krainy prawdziwego wina gruzińskiego. Około godzin popołudniowych znajdujemy się już w Gaudauri, narciarskim kurorcie Gruzji. Nasz pensjonat jest bardzo przyjemny, ale rozpoczynają się szybkie przygotowania do akcji Kazbek. Rano wyruszamy wszyscy w stronę Kazbegi, gdzie nasi wspinacze meldują się w agencji turystycznej w oczekiwaniu na podwózkę do Klasztoru Camida Sameba. Reszta bez specjalnych rezerwacji za około pół godziny rusza w stronę wspomnianego klasztoru wynajętym na centralnym placu „mitsubiszi” terenowym. Opłata za niego dużo niższa niż 2 lata temu, bo wynosi 10 lari za osobę, a wtedy wynosiła 20 euro od osoby. Po zwiedzaniu Klasztoru przy bezdeszczowej pogodzie ale z tendencją do opadów, wracamy pospiesznie do przygranicznego z Rosją miasteczka. W samym Kazbegi-Stepancminda rozpoczyna się ulewa, przed którą uciekamy w ostatniej chwili. Naszym życzymy wszystkiego najlepszego, a my wracamy do hotelu. W nocy było kilka burz i niezłe opady deszczu, a śpiemy na wysokości ponad 2000 m n.p.m., ale ranek jest piękny, więc myślę że nasi atakują Kazbega. My w tym dniu wynajętym terenowym autem wyruszamy do Tbilisi z Niną najpierw do szpitala. To już moja druga wizyta w szpitalu gruzińskim w ciągu 2 lat. Tym razem na Ninę czekamy nieco krócej. Nina wraca z opisem w języku gruzińskim, ale tłumaczy, że ma złamane 4 żebra, w tym 2 z przemieszczeniem i zalecane jest leczenie zachowawcze. Nasz kierowca podwozi nas do zabytkowego centrum, abyśmy zobaczyli wspólną największą budowlę w Gruzji katedrę Camida Sameba. Wybudowano ją jako dowód wdzięczności za rekatalizację Gruzji. Wcześniej udajemy się do gruzińskiej restauracji położonej nieopodal od niej. Tam na otwartej sali na dachu urządzamy sobie gruzińską „suprę” wznosząc

sząc toasty za wyprawę. Wracamy popołudniem do Gaudauri. Najważniejsze, że Nina będzie żyła, choć z ciągłym bólem przez kilkanaście tygodni. A w hotelu nasi już z pokorą, ale i z uczuciem zawodu czekają po powrocie z Kazbega. Narzekali na pogodę, ulewy, które większość przemoczyły, na spartańskie warunki na stacji meteorologicznej, ale przede wszystkim na duże opady śniegu, lawiny i całkowite zachmurzenie.

Kolejnego dnia ruszamy w stronę Kutaisi, ale po drodze zwiedzamy Mcchettę. To miejsce, w którym Gruzja przyjęła chrześcijaństwo w 337 roku. Król Wchtang Gorgasali przeniósł, a w zasadzie zaplanował przeniesienie stąd stolicy. To Mcchetta na zawsze pozostała miejscem koronacji, jak i pochówków królów Gruzji. Miasto to otoczone murami zostało wpisane na listę UNESCO w roku 1994, choć od 2009 roku jest na liście zagrożonych zabytków z powodu stanu murów i fresków. Obecnie mury i freski są w stanie idealnym, a cały koloryt i zgiełk turystów dodaje magii w zwiedzaniu.

Dalej wyruszamy w stronę skalnego miasta Upliscyche, na którego zwiedzanie mamy ok. 1 godz. Do Kutajsi docieramy o zmierzchu, by rankiem wyruszyć w stronę Batumi, wszak przed godz. 10 mamy zjawić się w biurze „Ukferry”, ukraińskiego operatora promowego. Okazał się, że biuro otwarto dobrze po 10 i nagle pojawia się kolejka chętnych, głównie kierowców tirów. Opłacamy już tylko przeprawę naszego busa, bo bilety mieliśmy zapłacone przed wyjazdem. Ale również dowiadujemy się że wypłyniemy jutro o godzinie 12, by w rzeczywistości okazało się, że około godziny 20. Musieliśmy załatwić jakiś dodatkowy nocleg. Operując między nabrzeżem a przybrzeżnym miastem we własnym zakresie zwiedzamy i kąpiemy się w morzu przy pochmurnej i wietrznej pogodzie, ale w temperaturze całkiem znośnej. Wygląd Batumi z perspektywy wypływającego promu był oszałamiający. Samo płynięcie całkiem przyjemne, w ogóle nie kołysało, kabiny były całkiem wygodne, a i jedzenie smaczne: śniadanie, obiad, kolacja. Pogoda w czasie rejsu piękna, słoneczna. I tak po dwóch i pół dniach i trzech nocach docieramy do Czernomorska ok. godz. 7.00. W Czernomorsku mieliśmy ze 4 odprawy paszportowe, celną i tak wyruszamy z portu ok. godziny 11. Teraz tylko jazda przez dzień i noc, by nad ranem przekroczyć całkiem spokojnie granicę w Krościenku. W Nowym Sączu byliśmy około godziny 8. To już mój drugi dzień poza zgłoszonym urlopem. Ale wszystko wyszło w porządku. Wyprawa pomimo wielu perturbacji udało się i wyrażam nadzieję, że wszyscy na swój sposób jąkoś są zadowoleni. Kazbek czeka i wszystkich zapalonych na niego, jeszcze kiedyś przywita gościnnie. Dziękuję wszystkim za zrozumienie, postawę, a szczególnie tym, którzy organizowali, wspomagali, pomagali w jej organizacji. ■

# Ladakh 2018

Celem naszym było zdobycie sześcioty-sięcznika Stok Kangri (6125 m n.p.m.). Wyprawę zorganizował Krzysztof Lisowski biorąc pod uwagę minimum opadów w trakcie pobytu oraz pełnię księżyca w dniu ataku szczytowego. Planowany był dojazd do Leh (Indie), tam 3 dni aklimatyzacji. Następnie 11-dniowy trekking na trasie Lamayuru – Hemis Gompa. Dalej powrót do Leh, i za dwa dni wymarsz z wioski Stok do ostatniego obozowiska pod szczytem Stok Kangri, zdobycie szczytu, powrót do Leh a stamtąd do domu.

6 sierpnia w poniedziałek o 5 rano spotykamy się na lotnisku w Warszawie: Kasia i Olek Bodora z Gliwic, Andrzej Dudek z Siemianowic Śląskich, Krzysztof Lisowski z Opola, Grzegorz Wójcik z Wrocławia, Witek Dończyk z Bydgoszczy, Ewa Haberkó i Stefan Sytniewski z Częstochowy. Pierwsza niespodzianka. Andrzej nie ma wydrukowanej e-wizy. Ściąga ją z właściwej strony internetowej i drukuje grzecznościowo na stanowisku Lufthansy. Lecimy w komplecie do Frankfurtu. Dołącza do nas Paweł Sytniewski z Woodstock (k/Oxfordu). Tu kolejna trudność. Trzy osoby na wydruku e-wizy nie mają wydrukowanych liter w numerze paszportu, a tylko cyfry. Nie wpuszczają ich do samolotu. Reszta grupy leci. Pozostawione osoby wysyłają maila do biura wizowego w Delhi oraz załączają zdjęcia ze strony z danymi z paszportu i czekają na odpowiedź potwierdzającą udzielenie wizy naszej trójce na pełne numery paszportów (z literami). Odpowiedź pozytywna przychodzi w miarę szybko i udajemy się do biura Lufthansy na lotnisku, gdzie na podstawie tych maili wstępnie przebukowują nam bilety na nasze loty o dobę później, co trwa wstępnie ponad 1,5 godziny (wysyłają kilka maili do decydentów z opisem problemu), po czym każą nam przyjść za godzinę, kiedy wszystko zostanie w pełni zaakceptowane. Zgłaszamy się więc ponownie i bez żadnych dopłat wypisują nam bilety na loty na kolejny dzień (+24 h) i dopisują nasze bagaże do biletów (bagaże były wycofane z samolotu tuż po odmowie wpuszczenia nas na pokład). Mamy teraz 18 godzin wolnego czasu i wybór: hotel lub lotnisko. Wybieramy wygodne łóżki do spania na lotnisku.

Noc minęła spokojnie a od rana do południa czekamy na odlot. Przy odprawach kolejne tłumaczenia i wyjaśnienia pomimo wystawienia biletów na miejscu na podstawie otrzymanych z biura wizowego z Delhi maili. Zostajemy wpisani tym razem na inną listę – nie w pełni prawidłowych e-wiz, ale wyjaśnionych i zakwalifikowanych do lotu dalej. Wsiadamy do dużego dwupiętrowego samolotu do Delhi. Lot trwa ponad 7,5 godzin.

Rano po przylocie (przesunięcie czasowe +5,5 godz.) w okienku e-wizy całe tłumaczenie od początku, acz personel życzliwy. Potem wymagane skany wszystkich palców obu rąk (!), wbiecie wreszcie nam wiz do paszportów i biegniemy po odbiór bagaży (trochę nam zeszło przy okienku). Są dwa bagaże, brak trzeciego. Taśma stoi. Biegamy naokoło taśmy i zauważamy brakujący bagaż ołożony w dużej grupie wycieczkowej. Różni się on znacznie od pozostałych bagaży, jednak ktoś go zrzucił z taśmy. Mamy szczęście, że grupa nie odjechała z nim, zanim my załatwiliśmy te wizy. Przechodzimy na terminal krajowy i odprawiamy nasze bagaże do Leh. Czas biegnie, więc bez zwłoki idziemy na odprawę z bagażem podręcznym. Udajemy się w region zmiłarzystwany i są tutaj poważne obostrzenia co do zawartości bagaży. Trzeba wyciągnąć powerbanki, baterie, kamery, aparaty, komputery i inne urządzenia elektroniczne z bagaży podręcznych. Bagaże wędrują wokoło, bo zawsze komuś coś zostanie w bagażu i po wyjęciu fantu bagaż wędruje na początek taśmy. Nagle zamieszanie. U Grzesia znaleźli nietypowe i podejrzane urządzenie. Zbiegła się cała obsługa antyterrorystyczna do oglądania urządzenia i stwierdzenia co to jest. Była to ładowarka akumulatorów do aparatu fotograficznego własnej produkcji Grzesia, z dużą ilością przewodów na wierzchu i wyglądająca trochę, jako ręczne urządzenie do odpalania ładunków. Sam Grześ nie wytłumaczyłby się. Wkroczyła Ewa opisując po angielsku urządzenie, a Grześ demonstrował je podpinając poszczególne elementy do aparatu. Widownia kiwała głowami z niedowierzaniem. Przedstawienie było na tyle przekonujące, że w komplecie z urządzeniem poleciliśmy najbliższymi lotem do Leh. Na lotnisku w Leh położonym na wysokości 3500 m n.p.m. czeka na nas Krzysztof, ładujemy się do busa i do hotelu. Hotel przyjazny. Witamy się z grupą, kąpiel, odpoczynek. Po południu idziemy na obiad i spacerujemy ulicami Leh. Przy niektórych budynkach widzimy miejsca oznaczone napisami „Don't pee here” (tutaj nie sikać), co nie znaczy, że można to czynić np. na środku deptaka. Na samochodach i na tablicach w Ladakhu są napisy propagujące ochronę środowiska przez nieśmiecenie. Na deptaku czasem brakuje prądu, odpalane są wówczas agregaty i spaliny dominują w powietrzu. Czas uciekać stamtąd. Idziemy na kawę i ciastko w miejsce bez agregatów. W Leh jak i innych regionach Indii panuje prohibicja. Jest tu jeden sklep w mieście, gdzie ukradkiem sprzedają alkohol (najtańsze piwo ok. 6 zł). W knajpach ceny piwa bywają trzykrotnie droższe, a nie wszystkie z nich podają alkohol.

Często mają jakieś święto, kiedy ani nie sprzedają, ani nie podają w gastronomii alkoholu. Kiedyś trafiliśmy na takie półowkowe obchody na cześć trzech zabitych żołnierzy hinduskich, gdy do 14 wszystkich sklepy i restauracje były pozamykane, a po tej godzinie otwarte wraz z alkoholem. Wieczorem na tarasie w hotelu opowiadamy sobie wrażenia z ostatnich dni. Następnego dnia załatwiamy transport do Lamayuru (początek trekkingu), zwiedzamy Pałac Królewski, klasztor Namgyal Tsemo, kupujemy kartusze z gazem, robimy ostatnie zakupy, pakowanie i zostawiamy depozyt w hotelu.

10 sierpnia (piątek) po drodze do Lamayuru zwiedzamy klasztor w Alchi. Zakaz robienia zdjęć. Pawła chciał zamknąć w świątyni za to wykroczenie jeden z mnichów, ale udało mu się uwolnić. Jedziemy i trafiamy na kontrolę paszportową. Musimy wysłać jedną osobę dwa kilometry wstecz, aby zrobić ksero paszportów i wiz. Zazwyczaj tam, gdzie potrzebują kserokopii, nie mają urządzeń kserujących. Przy drogach jest sporo tablic pouczających kierowców np. „After whisky driving risky”. W Lamayuru śpimy w hotelu przy klasztorze. Wspinamy się na wzgórze, skąd mamy piękny widok na klasztor i okolice.

Rano koniec chodzenia na lekko. Wymarsz z pełnymi plecakami do Wanla przez przełęcz Printki 3700 m. Wędrujemy 4,5 godz. Jemy tam obiad i idziemy dalej do Phanja. Od rana był upał i prawie bez cienia. Na polu namiotowym woda ze studni, a ciepła do mycia stoi w baniaku plastikowym z czerpakiem wyciętym z plastikowego kanistra. Tu jemy własny prowiant. Po 20.30 ciemno. Idziemy spać. Nazajutrz wychodzimy po ósmej. Rano chłodniej. Idziemy doliną, drogą asfaltową. Zbocza gór – pustynia skalna, pył, dołem płynie mętna woda z lodowca. Piękne widoki kolorowych skał na zboczach. Dochodzimy do dziwnego pola namiotowego suchego i zakurzonego w wiosce Hinju. Jedynym plusem jest tu droga dojazdowa. Nasze pole namiotowe jest 1 km za wioską. Piękny widok na rzekę Riphar Tokpo. Czysty strumyk obok namiotu z wodą pitną. Obok stoi duża studnia z napędem ręcznym. Niestety zepsuta. Studnie takie widzimy rzadko na trasie. Na ogół działają. Były one uruchomione w ramach programu pomocowego. Naprawa nie była już w ramach tego programu. Nieco dalej rzeka z mętą wodą płynącą z lodowca.

Nazajutrz budzimy się i widzimy, że miejscowy człowiek z łopatą w ramach konserwacji kanałów wodnych doprowadzających wodę na poletkę pogrzebał powyżej strumyka i mamy brudną wodę. Dobrze, że wczoraj nabraliśmy czystej w butelki. W dodatku chcą 250 rupii za

namiot, podczas gdy wcześniej płaciliśmy za lepsze warunki 200 rupii. Płacimy po 200. Idziemy na przełęcz Konzke (4900 m n.p.m.). Niebo zachmurzone, to dobrze, bo chłodniej. Powoli docieramy w komplecie do przełęczy. Pod koniec ciężko. Idąc w dół szybko tracimy wysokość. W dolinie mijamy małe pole namiotowe biwakujemy na większym, gdzie jesteśmy sami. Zrywa się silny wiatr i zaczyna padać. W nocy przychodzi poganiacz z końmi i biwakuje obok nas.

14 sierpnia (wtorek) idziemy 5 km do najbliższej wioski Sumdah Chenmo. Wkraczamy na teren *tea tent*-ów, punktów gastronomicznych, gdzie pod dachem przykrytym zużytym dużym spadochronem wojskowym można nabyć zimne napoje, a czasem słodczyce i zakupki chińskie. Zaliczamy pierwszy obiekt, idziemy jeszcze 3 km w górę i biwakujemy 500 m pod przełęczą Dungdunchen. Mamy pogodę zdjęciową. Hałasują wieszczki, ptaki podobne do wrony.

Wcześniej rano po śniadaniu drapiemy się na przełęcz Dungdunchen (4710 m n.p.m.). Coraz bardziej gorąco w słońcu. Na przełęczy zimno, deszcz, wietrznie. Schodzimy w dół. W oddali most na Zanskarze, który przekroczyliśmy jutro. Schodzimy do Chilling na biwak na pole namiotowe. Tutaj dochodzi droga. W pobliżu rzeka Markha wpada do Zanskaru. Jest też knajpa. Zamawiamy *dalbat* (ryż, smażone warzywa, sosy) na osiemnastą i rozbijamy się. Pranie, suszenie, mycie... Po kolacji zamawiamy śniadanie na jutro.

Kolejnego dnia w upale docieramy do mostu i przekraczamy rzekę. Na chwilę gubimy szlak ale docieramy do pierwszej wioski Skyu, do pierwszego *tea tent*-u. Odpoczynek i wybór napojów. Najlepiej robi *coca cola* chłodząco i na żołądek. Kolejny obiekt gastronomiczny mijamy, bo za chwilę ma być większy z szerszą ofertą. Dochodzimy tam, ale 10 dni wcześniej zeszła tam lawina błotna i lokal do połowy wysokości szczelnie wypełniony był błotem. Na zewnątrz błoto już obeschło i popękało. Dało się już po tym przejść i nie trzeba było szukać obejścia. 5 min dalej udało się nam zamówić w starym domu *dalbat*. Bardzo przydatną zdobyczą cywilizacji jest tam szybkowar. Z powodu niskiego ciśnienia powietrza na tych wysokościach woda wrze w temperaturze nie pozwalającej na ugotowanie ryżu czy kaszy. Szybkowar jest tam w każdym gospodarstwie wybawieniem. Wysokie ciśnienie wewnątrz podgrzanego naczynia powoduje, że możliwe jest przygotowanie potraw z tych produktów. Jedliśmy w pomieszczeniu z dużą ilością garnków na półkach na ścianie. Dach był zbudowany z bali na których były poukładane przycięte gałęzie jednakowej długości, a na nich polepa z gliny. Była też pozostawiona dziura na środku dachu pod którą kiedyś było palenisko. Deszcz jest tu rzadkością. Dalej idziemy jeszcze 5 km. Docieramy do budynku z napojami zarządzanym przez dziadka. Odpoczywamy i rozbijamy się w pobliżu. Jest tu sporo drzewa rzecznego. Zbieramy je i rozpalamy ognisko. Jest czysta woda. Ze wszystkich czterech stron mamy prawie pionowe skały. Wczesnym rankiem przychodzi dziadek z osłem i kasuje opłaty za namioty. Idziemy i co trzy km pojawia się kolejny *tea house*. Upał powoduje, że zatrzymujemy się często. 3 km przed Markhą trzeba sforsować rzekę. Dużo rwącej wody po kolana. Przed samą Markhą jest most i nie trzeba przechodzić wpraw. Wioska ma kilka domów oraz obiekt sakralny. Część grupy obozuje przed, reszta za wioską. Nasza grupa je wspinały *dalbat* zamówiony przez Kasię. W nocy pada. Grupa biwakująca nad rzeką czuwa, aby w nocy namiot z zawartością nie był przemoczony.

Sobota, wychodzimy późno. Po 1,5 km przekraczamy rzekę wpraw. Most zawalony. W połowie trasy *tea-tent*. Dochodzimy do *homestay*-u prowadzonym przez kobiety (taki program). Panie przerywają robótki ręczne i zajmują się posiłkiem dla nas. Dostajemy kluseczki z maki jęczmiennej z warzywami i sosem. Czekają nas jeszcze spora droga w górę. Andrzej usiłuje nas namówić na dodatkowy wysiłek zdobycia niższego Kang Yatse (ponad 6000 m n.p.m.), zakładając dzień opóźnienia do Hemis. Pomysł jednak nie znalazł zwolenników. Była obawa, że może to obniżyć naszą zdolność zdobycia zakładanego szczytu Stok



klasztor w Lamayuru



przeprawa przez mostek wymaga zwiększonej uwagi



widoki ze szlaku do bazy (5000 m n.p.m.)



zdobywcy szczytu Stok Kangri (6125 m n.p.m.), autor relacji trzeci z lewej

Fot. Stefan Sytniewski - PTT Opole

Fot. Stefan Sytniewski - PTT Opole

Fot. Paweł Sytniewski

Fot. Paweł Sytniewski

Kangri, a może i żadnego z nich. Docieramy za Hankarem do Tachungtse na obozowisko. Na skałach wygrzewają się jaszczurki. Śpimy nad bardzo głośną rzeką. Obok nas biegają zabawne szczekuszki, małe zabawne zwierzątka podobne do chomika. Wydaje nam się, że pozuja nam nieruchomo do zdjęć. Czasami pojawia się kuna, która na nie poluje.

Niedziela, idziemy do obozowiska Nimalung (4740 m n.p.m.). docieramy ok 12.30. Robimy sobie obiad. Dwie osoby zostają na nocleg. Umawiamy się, że jutro czekamy na nich na polu namiotowym za przełęczą. Reszta wchodzi na przełęcz – Gongmaru (5260 m n.p.m.). Ładne widoki wokół nas. Widać kilka szczytów Karakorum. Schodzimy na pole namiotowe na 4760 m n.p.m. po godz 18-stej. Jest zimno. W nocy 5°C. Na obozowisku w Nimalung w nocy szron.

Rankiem, kolejnego dnia śpimy dłużej. Czekamy na dwójkę pozostałą po drugiej stronie przełęczy. Dotarli po 11-stej. Na trasie pomagali Hinduse z grupy z UK, która opadła z sił. Poprzedniego wieczoru dwójka Czechów korzystała z pomocy przygodnego lekarza po tamtej stronie przełęczy. Nie każdemu udaje się pokonać bez problemów takich wysokości. Wyruszamy w dół. Piękne widoki. Po drodze zaliczamy *tea tent* w Chogdo. Dalej docieramy do Shang Sumdo, gdzie obok *tea tent*-u znajdujemy przyzwoity nocleg z wyżywieniem. Pokój wspólny, podłoga wyłożona materacami. Pani załatwia nam transport do Hemis na następny dzień. Mój aparat po wywróceniu ma rozbity wyświetlacz i dalsze zdjęcia będą już tylko z komórki. Karta z aparatu jest w całości.

Wtorek. Smaczne śniadanie. Jedziemy do Hemis Gompa zwiedzić najważniejszy obiekt religijny w Ladakhu. Potem do Leh na starą kwaterę. Brak Wi-Fi w hotelu, ale jest w knajpach w Leh. Od początku naszego pobytu jest to jedyna możliwość kontaktu z domem. Łączność telefoniczna dla obcokrajowców jest zablokowana. Mamy komunikat w telefonach, że działają tylko numery alarmowe. Upragniona kąpiel, pranie, suszenie, porządny obiad, deser. Pełny odpoczynek po długim trekkingu.

Od rana załatwiamy permity (50 \$/osobę) na trekking na Stok Kangri oraz transport na początek trasy do Stok. Czekamy na otwarcie biura. W mieście pusto – święto muzułmańskie. Dopiero wieczorem część sklepów jest otwartych (poza sklepem piwnym).

Czwartek. Z opóźnieniem wyjeżdżamy do Stok. Płacimy wstęp do parku (myśleliśmy, że to jest w permicie). Co jest ciekawe nikt nas nie zapyta o nasze permity przez cały nasz pobyt w tym regionie. Idziemy przez 2 godz. do pierwszego *tea tent*-u. Po drodze zwożą na osłach i koniach, turystów trafionych chorobą wysokościową. Dostajemy informację, że jedna osoba z naszej grupy zawróciła i będzie czekać na nasz powrót w Stok. Odpoczywamy i wychodząc na dalszą trasę, 2 osoby z naszej wyprawy wybrały niewłaściwą ścieżkę i zginęły nam z oczu. Łączności nie ma. Muszą sobie radzić same. Z trudem przekraczamy mętną rwącą rzekę. dochodzimy do kolejnego namiotu z konsumpcją. Odpoczywamy i zostawiamy kartkę z informacjami dla zagubionej dwójki. W tym miejscu widzimy kartkę z napisem, że każdy turysta czy to Hinduś czy nie, powinien im jeszcze zapłacić opłatę klimatyczną – 700 rupii. Stwierdziliśmy, że idziemy wyżej na nocleg i nie damy się nabierać na kolejne opłaty. Docieramy na pole namiotowe z trudem (ok. 5 tys. m n.p.m.).

Jemy coś, jest nam bardzo zimno i przed 20-stą śpimy ubrani w namiotach. Nasza zagubiona dwójka po przejściu dodatkowo dwóch przełęczy i skierowana przez przypadkowo napotkanego poganacza mułów na właściwą trasę dociera do nas po 20-stej, dokładając jakieś 3 godziny drogi. Nas nie znajdują po ciemku z powodu dużej ilości namiotów poustawianych w tym dniu. Mieli oni jeszcze przygodę przy przekraczaniu tej mętnej rzeki. Paweł przerzucał swoje buty na drugi brzeg i niestety wpadły mu do rzeki. Na szczęście lokalni przewodnicy w tym czasie pomagali Ewie przechodzić przez wodę i zauważyli, że właśnie płyną rzeką czyjeś buty. Na chwilę zostawili Ewę na środku przeprawy i priorytetowo wyłowili buty.

Rankiem, gdy pokazało się słońce, w bazie zrobiło się gorąco. Paweł z Ewą są już z nami i po śniadaniu idziemy na rekonasans do miejsca skąd widać lodowiec. Wypoczywamy przed atakiem szczytowym. Na zboczu nad namiotami widzimy duże stado kozic. Kolacja o 17-stej. Robi się zimno, lądujemy w namiotach. W nocy pada.

Sobota. W kierunku szczytu wyruszamy w osiem osób o godzinie drugiej, gdy przestaje padać. Dwóch kolegów wycofuje się po drodze. Szóstka wchodzi po sześciu godzinach na szczyt Stok Kangri (6125 m n.p.m.). Nie trzeba było zakładać raków. Widoczność słaba – zachmurzone niebo. Po południu zwykle

mniej lub więcej przejaśnia się. Trzeba było wyjść 3-4 godziny później, ale kto to mógł przewidzieć. Schodzimy ok. 4 godzin. Jemy coś, w bazie kupujemy po puszcze piwa i stwierdzamy, że na tej wysokości po takim wysiłku działa ono mocniej. W takich nastrojach leżakujemy do wieczora. Na polach namiotowych poza indywidualnymi turystami są zorganizowane grupy z obsługą transportowo-kuchenną. Są też na terenach częściej odwiedzanych przez turystów bufety z napojami i zakupami chińskimi. Obsługa bufetu kasuje też opłaty za postawienie namiotu (10 zł/ namiot/dzień). Nie zwożą oni śmieci na dół, tylko palą na miejscu, co nie jest zbyt miłe dla środowiska.

Niedziela. Schodzimy do Stok. Bierzymy 2 busy i jedziemy do Pałacu Królewskiego

w Stok. Po jego zwiedzeniu udajemy się do naszego hotelu w Leh, gdzie zmywamy z siebie kurz z wyprawy. Mamy jeszcze pełne 2 dni do wykorzystania. Jak dotąd nie straciliśmy żadnego z dni rezerwowych. Kolejnego dnia zwiedzamy dwa klasztory w pobliżu Leh a we wtorek spływamy 2,5 godziny raftingiem po Zanskarze z Chilling do Nimmo (z obiadem 75 zł/os.). Mnóstwo emocji.

29 sierpnia (środa). Wylot z Leh do Delhi. W Delhi odbieramy bagaże i deponujemy w przechowalni bagażu. Wyjeżdżamy metrem na Nowe Delhi. Mamy sporo czasu wolnego. Duszno, parno, wokół niemiłe zapachy, zaczyna padać. Oglądamy z zewnątrz Czerwony Pałac a potem idziemy odetchnąć do świątyni Sikhów (jest klimatyzacja). Pada mocniej, wracamy więc na lotnisko. Nadajemy bagaże do Warszawy. Przy odprawie czepiają się u mnie braku wpisu w wizie daty ważności wizy (jeden ich urzędnik tego nie wpisze, a inny ma o to do Ciebie pretensje).

Dzień później, we czwartek, dolatujemy do Warszawy przez Monachium i odbieramy bagaże. Tym razem zdążyli je przepakować w Monachium. Przy powrocie z jednej z poprzednich wypraw w podobnych okolicznościach przy krótkim czasie przesiadkowym obsługa nie zdążyła przepakować naszych bagaży na nasz samolot i dostarczono nam je do domu. ■



*mieszkańcy jednej z nielicznych, mijanych wioszek*

## Elbrus – na dachu Kaukazu

Była to moja kolejna wyprawa, po Mont Blanc (4810 m n.p.m.) i Kazbeku (5033 m n.p.m.). Same przygotowania trwały kilka miesięcy począwszy od rezerwacji biletów po załatwienie wizy i kompletację sprzętu.

17 sierpnia wyruszyliśmy z Polski czteroosobową ekipą. Dotarcie na Kaukaz zajęło nam dwa dni z międzylądowaniem. Wpierw lot do Moskwy i zwiedzanie stolicy Rosji. Wieczorową porą robi ona wrażenie. Na drugi dzień wylot do miejscowości Mineralne Wody. Na miejscu czeka na nas wcześniej zarezerwowana taksówka, którą udajemy się do miejscowości Tereskol u podnóża góry Elbrus.

Po drodze kupujemy gaz do kuchenek. Docieramy na miejsce do wcześniej zarezerwowanego domu wczasowego o nazwie Dynamo. Miła obsługa. Pani gospodarz dużo mówi i rozumie po polsku, co ułatwia załatwienie wiele spraw, łącznie z potwierdzeniem meldunku, co jest obowiązkiem wjeżdżającego do Rosji. Na miejscu są śniadania, obiady i kolacje w przystępnej cenie. Rozkładamy się w pokoju i ruszamy na szybki rekonesans po miejscowości. Sklepy przyzwyczajone do turystów, jest bankomat i jednostka wojsk górskich.

19 sierpnia wyruszamy na aklimatyzację na pobliski szczyt Czeget około 3500 m n.p.m. Schodząc spotykamy znanego Himalaistę Ryszarda Pawłowskiego, który jest tu, komercyjnie ze swoją grupą.

Kolejnego dnia rano, taksówka i ruszamy do miejscowości Azau oddalonej o około 4 kilometry od Tereskolu. Stamtąd trzyetapowo kolejką gondolową na wysokość około 3800 m n.p.m. Istnieje również możliwość podejścia szlakiem raczej mało urokliwym, przypominającym podejście naszymi łańdami na Śląsku.

Po wyjściu z kolejki naszym oczom ukazuje się ogrom obu wierzchołków Elbrusa. Ruszamy powoli z około 25-kilogramowymi plecakami. Po drodze spotykam kolegę podróżnika Łukasza Supregana. On już szczęśliwy schodzi po zdobyciu góry. Radzi, żeby pierwszy nocleg zrobić w kamiennym baraku o nazwie Disel Hut około 4050 m n.p.m. i tak też czynimy. Ważne, że jest dach nad głową i gaz do gotowania wody, co już jest luksusem.

Zostawiamy plecaki i popołudniu ruszamy na wypad aklimatyzacyjny w rejon Skał Pastuchowa (około 4600-4800 m n.p.m.). Jest to ostatnie możliwe miejsce noclegu w namiocie ze względu na wypłaszczenie terenu. Schodzimy, gotujemy wodę na jutro i do spania, a może bardziej czuwania, bo sen na tych wysokościach jest wyjątkowo płytki i krótki, tak około dwóch godzin, reszta to przewracanie się z boku na bok i słuchanie chrapania kolegów.

21 sierpnia wstajemy rano. Śniadanie i ruszamy na Skały Pastuchowa. Idzie się ciężko, plecak i wysokość dają się we znaki. Mamy do pokonania około 600 m przewyższenia przy sporym nachyleniu terenu. Docieramy zmęczeni, zrzucając plecaki i bierzemy się za robienie platform w śniegu pod namioty. Namioty już stoją wrzucamy do środka rzeczy. Krótka dyskusja co dalej.

Wraz z kolegą Norbertem, który również się czuje dobrze spróbujemy zaatakować szczyt, kolejnych dwóch kolegów ma pierwsze objawy choroby wysokościowej.

Idzie się bardzo ciężko. Cały czas ostro pod górę. Po dwóch godzinach docieramy do zepsutego i w połowie zasypanego ratraka, który stał się punktem orientacyjnym (około 4900 m

n.p.m.) Odpoczynek, napoje szturmowe, jedzenie i ruszamy dalej do trawersu wschodniego, wierzchołka, który prowadzi do przełęczy pomiędzy obydwooma wierzchołkami.

Sam trawers okazuje się bardzo monotony i psychicznie dołujący, ponieważ ciągnie się niemiłosiernie, nie dając możliwości zobaczenia jego końca. Krok po kroku, oddech za oddechem, pytam się w myślach: „Co ja tu robię?” W końcu dostrzegamy przełęcz.

Ostatni etap podejścia pod szczyt jest bardzo stromy, z przełęczy do szczytu dzieli nas około 500 m przewyższenia. Niestety opadają kłębiaste chmury, ewidentnie zmienia się pogoda, jest około godziny 14:30. Krótka rozmowa z moim kolegą. Postanawiamy odpuścić i ponowić atak jutro. Telefonicznie otrzymujemy informację, że pogoda się zmienia i jest szansa, że wyjdziemy jutro na szczyt w świetnych warunkach. Powoli człapiemy na dół do namiotów, co zajmuje nam około dwóch godzin.

Zaszywamy się do namiotów, papu i uzupełniamy płyny. Niestety, kolega Michał dalej źle się czuje. Choroba wysokościowa nie wybiera. Nie znasz dnia ani godziny kiedy Cię dopadnie.

22 sierpnia rano uśmiecha się do nas słonecznie. Noc ciągnęła się niemiłosiernie. Zaledwie może trzy godziny snu, reszta jak zwykle stan czuwania i przekręcanie się z boku na

bok, myśląc o jutrzejszym ataku. Michał podejmuje męską decyzję, schodzi do kolejki i zjeżdża na dół. Bardzo nam przykro, bo wiemy jak boli taka decyzja. Rok przygotowań na marne, ale zdrowie najważniejsze.

Norbert, Dawid i ja, po szybkim śniadaniu, ruszamy przy pięknej pogodzie. Idzie nam się dobrze. Wczorajsza aklimatyzacja sprawdza się. Dość szybko docieramy do pierwszego punktu orientacyjnego jakim jest zasypany ratrak. Batony i woda

w ruch, odpoczywamy podziwiając panoramę Kaukazu. Widoki zapierające oddech.

Ruszamy dalej docieramy do trawersu wschodniego wierzchołka. Idziemy każdy swoim tempem łapiąc oddech co kilkadziesiąt kroków. Walka z samym sobą. Mijamy osoby schodzące, niektóre wyglądają niczym zombi – efekt złej aklimatyzacji. Zresztą, co jakiś czas widać na śniegu wymiociny. W końcu docieramy do przełęczy między wierzchołkami. Piękna pogoda, robimy postój przed ostatnim atakiem. Do pokonania mamy ostatnie około 400 m przewyższenia do szczytu. Ostatnie słowa otuchy, czekamy w dłoń i w drogę bardzo stromym zboczem.

Krok za krokiem, docieramy na wypłaszczenie. Czujemy, że cel jest blisko. Po dłuższej chwili widzimy już wierzchołek. Sprawnie docieramy na szczyt. Mamy to! Chwilo trwaj!!! W Europie nie da się wyżej. Gratulacje. Pamiątkowe fotki i podziwianie widoków. Jesteśmy sami na szczycie.

Trzeba wracać, oby szczęśliwie. Te słowa okażą się później prorocze. Po drodze do namiotów spotyka nas niemiła przygoda. Weszliśmy w chmurę wyładowania elektrostatycznego, w trakcie burzy. W skrócie, czujesz się jak cel snajpera na pustyni. Niestety, dla jednego Rosjanina zakończyło się to śmiercią od porażenia piorunem. My szczęśliwie wracamy do namiotów.

Na następny dzień schodzimy na dół. Tak oto, w skrócie, wygląda moja historia wejścia na Elbrus.



Ryszard Barteczko na szczycie Elbrusa

## Dolomity 2018

Oddział PTT w Jaworznie po raz drugi zorganizował kilkudniowy wyjazd w Dolomity. Ponownie celem naszej podróży z Polski była niewielka miejscowość Caviola położona niedaleko Falcade. Z Jaworzna wyjechaliśmy 18 sierpnia 2018 r. w sobotę, na miejscu byliśmy wieczorem. Przez pierwsze dni trasy górskich wycieczek obejmowały południową część Dolomitów: masywy Pala i Civetta oraz centralną Marmoladę.

Pierwszego dnia po przyjeździe, w niedzielę 19 sierpnia 2018 r. pojechaliśmy na trasy w masywie Pala. Pieszą wędrowkę rozpoczęliśmy w urokliwej alpejskiej dolinie Val Canali niedaleko Cant del Gal (1180 m n.p.m.). Pierwsza grupa skierowała się na wschód przez schronisko Rif. Treviso (1631 m n.p.m.) na przełęcz Forcella delle Mughe (2258 m n.p.m.) znajdującą się pomiędzy szczytami: Pala d. Madonna i Sasso d'Ortiga, skąd zeszła przez Bivacco G. Menegazzi al Pianlonch (1737 m n.p.m.) do miejscowości Sarasin. Trasa obejmowała początkowo wejście zakosami w lesie, następnie powyżej schroniska wchodziliśmy drogami wśród piargów. Z przełęczy wspinaliśmy widok na doliny i przeciwległe szczyty. Natomiast druga grupa wyruszyła w kierunku dwóch via ferrat: Sentiero del Cacciatore (o trudności określonej jako B) oraz Dino Buzzati (trudność B/C) zdobywając szczyt Cimerlo (2505 m n.p.m.).

Drugi dzień (20 sierpnia 2018 r.) również spędziliśmy na trasach w masywie Pala. Swoje wędrowki rozpoczęliśmy w miejscowości San Martino di Castrozza. Tym razem część przewyższenia pokonaliśmy wjeżdżając kolejką do Col Verde (1965 m n.p.m.) skąd pierwsza grupa przeszła szlakiem, a następnie via ferratą Bolver-Lugli (trud. C/D) do Biv. Fiamme Gialle (3005 m n.p.m.) i dalej szlakiem do schroniska Rif. Rosetta G. Pedrotti (2581 m n.p.m.) skąd doszli do górnej stacji kolejki i zjechali do miejscowości, z której ruszaliśmy. Druga grupa pojechała na górną stację kolejki, gdzie spacerowali po charakterystycznym skalnym płaskowyżu w okolicach schroniska zdobywając szczyt C. Rosetta (2743 m n.p.m.).

Kolejnego dnia (21 sierpnia 2018 r.) trasa prowadziła szlakami masywu Civetta. Wędrowkę rozpoczęliśmy z Rif. Pala Favera (1525 m n.p.m.) szlakiem prowadzącym początkowo drogą wśród alpejskich łąk, na których pasły się stada owiec, a następnie zakosami przez Rif. A. Sonino al. Coldai (2132 m n.p.m.) na przełęcz, z której można było podziwiać niewielkie jezioro Lago del Coldai (2143 m n.p.m.), a po jego drugiej stronie widok na urokliwą miejscowość Alleghe. Stamtąd ścieżką wśród piargów pod ścianami Civetty dotarliśmy do schroniska Rif. Tissi (2250 m n.p.m.). Ze szczytu wyraźnie widoczna przepaść w kierunku



Pamiątkowe zdjęcie uczestników wyprawy w Dolomity

Alleghe. Następnie kierowaliśmy się już typowo alpejskimi łąkami, na których pasły się liczne stada krów. Obeszliśmy masyw Civetty od północnej strony i dotarliśmy do Rif. Vazzoler (1714 m n.p.m.), a następnie już drogą pokonując kolejne serpentyny do Cap. Trieste (1135 m n.p.m.).

Następnego dnia (22 sierpnia 2018 r.) część grupy wjechała kolejką linową na Marmoladę, a dokładnie na Punta Rocca (3250 m n.p.m.), gdzie można stanąć na lodowcu. Z tarasu widokowego można podziwiać niezwykłą panoramę Dolomitów. Z kolei na wysokości 2950 m n.p.m. znajduje się Marmolada Museo della Grande Guerra, którego ekspozycja to m.in. autentyczne pamiątki po I Wojnie Światowej związane z walkami o Marmoladę. Grupa ferratowców postanowiła tego dnia przejść jedną z bardziej znanych via ferrat – Eterne, która charakteryzuje się znacznymi trudnościami technicznymi. Swoją drogę rozpoczęli z Passo di Fedai (2057 m n.p.m.), idąc ferratą zdobyli Punta Serauta (2961 m n.p.m.), następnie zeszli do pośredniej stacji kolejki, którą zjechali do Malga Ciapela.

Tego dnia zmieniliśmy miejsce naszego pobytu na Dobbiaco (Toblach), a kolejne wycieczki obejmowały trasy w północnej części Dolomitów: wokół Tre Cime i masywu Sorapis.

23 sierpnia 2018 r. podjechaliśmy pod charakterystyczne trzy szczyty, czyli Tre Cime di Lavaredo (Drei Zinnen). Część grupy zdecydowała się na łatwą, ale niezwykle malowniczą trasę wokół masywu. Składa się on z trzech głównych szczytów: Cima Ovest (2973 m n.p.m.), Cima Grande (3003 m n.p.m.), Cima Piccola (857 m n.p.m.) oraz dwóch mniejszych turni. Trasa okrężna to niezapomniany widok początkowo na południowe, a później na północne ściany tak charakterystycznych „Trzech Szczytów”, a idzie się przez kolejne schroniska: Auronzo, Lavarredo oraz Drei Zinnen. Grupa ferratowa tego dnia spod schroniska Auronzo przeszła bardzo łatwą ferratą Sentiero Alberto Bonacossa

do schroniska Fratelli Fonda Savio (2367 m n.p.m.), następnie ferratą Merlone na szczyt Cadin (2788 m n.p.m.), z którego znowu przez schronisko Fratelli Fonda Savio do Misuriny.

Kolejną trasę w Masywie Tre Cime rozpoczęliśmy w dolinie Fiscalina 24 sierpnia 2018 r. Z Fischleinbodenhutte Ristoro Piano Fiscalina (1454 m np.m.) przez Talschluss-hutte Rif. al Fondo Valle (1548 m n.p.m.) do Zsigmondy-Comici-Hutte Rif. Zsigmondy-Comici (2224 m n.p.m.), gdzie wszystkich turystów witały dwa bardzo spokojne osiołki. Idąc dalej szlakiem w kierunku Drei Zinnen zaczęła pogarszać się pogoda tak, że przy następnym schronisku Bullelejochhutte Rif. Pian di Cengia złapała nas straszna ulewa. Dalszą trasę pokonywaliśmy już w deszczu, zeszliśmy do malowniczo położonych jezior i do przełęczy, z której doskonale widać trzy charakterystyczne turnie Drei Zinnen. Następnie schodziliśmy w morzu mgieł do miejsca, z którego wyruszaliśmy.

Grupa ferratowa tego dnia wyjechała kolejką z Bad Moos do Schroniska Rudi (1950 m n.p.m.), skąd przeszli do przełęczy Elferscharte (2650 m np.m.). Tam wyruszyli na ferratę Alpinisteig, którą doszli do schroniska Rif. Zsigmondy-Comici, a następnie do Fischleinbodenhutte.

Ostatnim masywem, w którym byliśmy był Masyw Sorapis. Część osób zrezygnowała z wyjścia w góry i pozostała w miasteczku Cortina d'Ampezzo, gdzie mogła zjeść prawdziwą włoską pizzę w jednej z licznych knajpek. Pozostali z przełęczy Tre Croci (1805 m n.p.m.) doszli do przełęczy Marcoira (2307 m n.p.m.), a następnie do przepięknego turkusowego jeziora Lago del Sorapis.

Ostatniego dnia rano powitała nas... zimowa pogoda. Szczyty, które mogliśmy oglądać z balkonów naszych pokoi pokryte były sporą warstwą śniegu. Po krótkim spacerze po miasteczku Dobbiaco (Toblach) wyruszyliśmy z powrotem do Polski.